



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 28 listopada 1954 r.

Nr 48 (244) Rok V

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

ZMARŁ

ANDRZEJ WYSZYŃSKI

Drugi tom „Dzienników” Żeromskiego

Kiedy się znało Stefana Żeromskiego pod koniec jego życia, kiedy się poddawało niebывалemu urokowi jego umysłu — a zarazem urokowi jego zewnętrznej postaci, urokowi jego głosu, uśmiechu, sposobu mówienia — mimo woli trzeba się było zastanowić, jaki musiał być czar tego człowieka w młodości. Żałowało się, że los nie zetknął nas z tym młodzieńcem, którego płomienny zapal przemieniał w bojownika o człowieka, a ludzka ułomność wikała w tragiczne sieci nieporozumień i niedomyśleń. Trzeba było tylko sobie ową wspaniałą postać w młodości wyobrazić.

I oto uzyskujemy w „Dziennikach” Żeromskiego obraz jego we wczesnych latach. Więcej jeszcze, dzięki niezwyklej szczerości notatek zostajemy wciągnięci jak najbardziej intymnie, jak najbardziej osobliście w kontakt z tą żalowaną, dramatyczną, górną młodością i stajemy się tak bliskimi przyjaciółmi młodego Żeromskiego, jakimi nie moglibyśmy nigdy zostać, nawet gdybyśmy go znali osobiście w tamtych odległych latach.

Rozmaicie mówiono o „delikatności” wydawania podobnych dzienników i wydawcy gesty się tłumaczyli ze swojego czynu, a zwłaszcza z powodu niedotrzymania terminu zastrzeżonego przez samego Żeromskiego. Moim zdaniem czynią to niepotrzebnie. „Dzienniki” Żeromskiego są pozycją nader wartościową, nie tylko rzucają światło na młodość wielkiego pisarza, ale są same w sobie dziełem sztuki pisarskiej bardzo wysokiej klasy — o wiele wyższej niż pierwsze, pisane w tej epoce utwory czysto literackie Żeromskiego; i chwilami bawi nas i rozczula ton młodego chłopca, który daje sprawozdanie w dzienniku ze swoich prób pisarskich i wyraża wątpliwości co do swoich literackich możliwości, a jednocześnie na kartach skromnych dzienników gromadzi taką moc pasji, tyle uczucia, tyle sprężyn, tyle wyraz tak ostrym widzeniu świata, a jednocześnie wykazuje tyle żarzącej chłonności, tyle ciekawości dla wszystkiego, z czym się styka — że nie zdając sobie sprawy z tego, tworzy jedno z najcenniejszych swoich dzieł. Odnosi się to przede wszystkim do drugiego tomu „Dziennika”, pierwszy bowiem jest jeszcze dziecięcym choć chwilami bardzo przejmującym sprawozdaniem z zerknięciem ze światem zewnętrznym i światem myśli, tak bardzo niekształconym przez kielecki partykular.

Ale już tam, w pierwszym kieleckim tomie dzienników, Żeromski powiada: „Ciężko mi tu żyć, grobowa cisza, senna choroba dokoła, a wśród tego ja jeden płonę i trawi mnie ten ogień i dokucza mi”. Młody pisarz, nie wiedząc jeszcze, czym zostanie, „w którą podąży stronę”, czuje już ten ogień, który go spala i który „dokucza mu”, ogień, który będzie dymał aż do końca.

Ogień ten w najczystszej swej formie zapłonął właśnie na kartach drugiego tomu ogłoszonych „Dzienników”, które zdają sprawę z pierwszych lat jego pobytu w Warszawie, lat, które ośmielał się twierdzić, były najważniejsze w życiu naszego pisarza i kształtowały zarówno jego umysł, charakter, jak i jego możliwości pisarskie. Najlepszymi twórcami Żeromskiego są te, które odznaczają się pewną jednolitością kompozycyjną, których nie rozrywa zbyt obficie nagromadzony materiał, zbyt duża ilość rzeczy, które autor chce czytelnikowi powiedzieć, ów „wszystkoizm”, który nie jest cechą specyficzną tylko dzisiejszej literatury polskiej. Do takich rzeczy należą „Szyfrowe prace”, „Wierna rzeka”, „Przedwiośnie”. I to już na przykład w „Szyfrowych pracach” — jedność kompozycyjna — staje rozbita przez podział bohatera powieści na dwie osoby: Radka i Borowicza. Drugi tom „Dzienników”, rzecz prosta, ma jednego bohatera: autora. Ma jeszcze i jedną tematykę, która obraca się naokoło trzech centrów, rozmieszczonych bardzo symetrycznie. Trzy centrami są miłość do Heleny, Warszawa i warszawskie życie, wreszcie sprawy społeczne i polityczne, wielka perspektywa na Polskę i zagadnienia z bytem narodu polskiego związane. Samo życie tak jakos ten tom wyzna — najszerszymi jakiegokolwiek literatury — ułożyło i przez to stworzyło wybitne dzieło, przysparzając nam utwór najprawdźwieszego i najlepszego Żeromskiego, utwór, który stanie się ozdobą całokształtu jego

twórczości. Zdziwiająca jest wrażliwość tego młodego człowieka. Jego przeżycia erotyczne, jego miłość, jego zachłanność i głód myśli, wszystko to odbywa się w jakimś większym wymiarze, na potężniejszym diapazonie, niż u normalnego człowieka. Intensywność przeżyć Żeromskiego spotyka się rzadko nawet u innych pisarzy. Wszystkie myśli i uczucia Żeromskiego są jakby przeniesione w wymiary marzeń nocnych lub nawet gorączki. To nam objaśnia klimat jego powieści. Wszystko tam się odbywa z naciśniętym pedałem, bo i życie jego odbywa się z naciśniętym pedałem, — dlatego może czasem brzmie beładnie i nieprecyzyjnie, ale jakże za to intensywnie.

Proces twórczy jest też niezwykle intensywny. Kiedyś o 4-ej w nocy zapisuje młody student te słowa:

„Czemu nie można zatrzymać cudownych widzeń, jasnych, wspaniałych myśli, cudownych obrazów — sunących się namacalnie przez głowę i serce? Ach, ten idealny stenograf — sztuka nie stworzy, nie odda wszystkiego. Noc taka minie i nie powróci. Szczęście ciche a nieskończenie potężne, bezmienne, wszechmocne — widzenia cudownych kart — nie codziennie schodzi w ciemną głęb moich dni. Boże miłosierny — pozwól mi napisać wszystko co czuję...”

Każdy prawdziwy pisarz przeżywa takie momenty. Szczęście i męka nocy pisarskich nie obca jest żadnemu twórcy. Ale jakie to intensywne, mocne, szarpające w tej przedziwnej organizacji, jaką jest Żeromski. Jak wszystko co czuje, przelęwa się w słowa; a że uczucia są gorączkowe — stąd i słowa w chmurnym nawale pędzą pod pióro niecierpliwie: starając się coraz dokładniej, coraz obficie opisać owe uczucia dewaluują się, powoli przestają wyrażać zamierzenia autora. Zaczynają żyć życiem autonomicznym. Ale to dopiero później — w „Dumie o hełmanie”, w „Wietrze od morza”. W drugim tomie „Dziennika” wyrażają one jeszcze natłok uczuć i myśli, wyrażają hamletyzm i wertheryzm młodzieńca, w pełni odpowiadają ostrości przeżyć rodzającego się „romantycznego realizmu”, jak sam siebie jeszcze w Kielcach nazywał Żeromski.

Zadziwia nas los tego człowieka. W momencie wstąpienia na wydział weterynarii Uniwersytetu Warszawskiego jest on kompletnie samotny. Jest to samotność osobista przede wszystkim: oboje rodzice nie żyją, z siostrami nie utrzymuje stosunków, nie ma żadnych bliższych krewnych. Wykształca to w nim kompleks sieroctwa w najwyższym stopniu i przyczynia się do egzaltacji jego miłości do Heleny R., siostry jego macochy. Ta miłość tragiczna, mocna, dziwaczna i jakże nowoczesna, to najważniejszy, najpiękniejszy zarazem wątek dziennika. Miłość ta to właśnie prawdziwy „diable au corps” — swą autentycznością i intensywnością przetrwała ona wymysły Radigneta i Gerarda Philippe’a. Sceny tej miłości układają się w perypetie najpiękniejszej romansowej książki. Uczucie to gwałtownie wybuchające, to czające się w głębinach nurtu psychicznego Stefana, to kryjące się tak, że sam bohater jego wątku pocyna o jego istnieniu — rozwija się przed nami w mnóstwie wzruszających epizodów. Epizody te mają świeżość zanotowanej na gorąco prawdy, niestarty puszek młodości. Jeżeli przetworzone potem we wszystkich książkach Żeromskiego (teraz dopiero rozumiemy gwałtowność opisywanych uczuć) — to o ilez bardziej wzruszają one in crudo, na gorąco, i na tyle tylko zabarwione „literaturą”, na ile nie mógł się z niej otrząsnąć młodziak, który chętnie „dramatizował”. Spotkanie w Ogrodzie Saskim (powtórzono aż w „Przedwiośniu”) wstrząsająca scena spóźnienia się na pociąg i galopu przez most Kierbedzia, spotkanie — jakże warszawskie — w salonie sztuki Krywulki, coś to za sceny chwytające za serce. Jakże ta miłość obustronna jest piękna, choć egzaltowana, jakże poetyczna, mimo niezwyklej pospolitej scenerii, jaka ją otacza. Jak nie nie znaczy, że te wizyty Stefana odbywają się na malutkich stacyjkach w Mińsku Mazowieckim, w Białej Podlaskiej — wielkie uczucie przemienia te pospolite budynki, perony i dzwoniki peronowe, pozwala uśmiechać się na widok czerwonej czapki pana Leona, męża ukochanej... Od dziś dnia nie można obojętnie mi-

nać murów stacji w Białej, dzięki „Dziennikom” zabarwić się one złotem Werony, winnicami nadreńskich pejzażów Werthera, odbłaskiem zamków Tristana.

Miłość ta tak gwałtowna ma swoje ekstazy i swoje rozpacz; jest ona dominantą tych lat Żeromskiego. Teraz rozumiemy miłość Olbromskiego i miłość Rozłuckiego. Czujemy jedność i identyczność tej namiętności. I przychodzi do głowy wiersz jednego z poetów rosyjskich:

Jedyny raz wspaniałe pleni
I razbiwajęta wojna,
Nie może serce zill' izmienoj
Lubow' odna, kak smiert' odna.

Jak cytat z jakiegos wiersza zapisany w dzienniku powraca potem w utworach Żeromskiego przez całe życie (cytat z Krasieńskiego zapisany 29 grudnia 1886 roku odnajduje się potem w liście Niepołomskiego w „Dziejach grzechu” i w opisie miłości Jasiolda w „Charitas”) tak samo uczucie młotające młodocianym Żeromskim odbija się potem w jego dziele, w zdaniach, słowach, apoteozach, opisach — jak w tysięcy zwierciadłach — stanowi podkład intensywny wielu, jeżeli nie wszystkich jego dzieł. Wrażenia młodości trwają przez całe życie, formują twórczość do samego końca: Szulmierz z roku 1886 (a i wrażenia znacznie wcześniejsze) odżyje w Nawłoci przed samym zgonem pisarza.

Chmurna miłość oślanająca popolitostą otoczenia i trywialne szczegóły (ukochana przez duży fragment dziennika jest w ciąży i rodzi dorodnego syna mężowi) swoim patosem nuży nas chwilami. Ale są tam i momenty czulej ciszy, wypoczynku, idylli. Nie są to one materialem pisarskim dla Żeromskiego, ale stanowią najcenniejsze może, skończone artystyczne momenty dziennika. Oto taka scena:

„29. VI. (środa) [1887 r.]

„Idziemy na spacer brzegiem Żofii — lasu — p. Leon, ja i ona. Las otoczony rowem, głębokim na dwa łokcie. Miedza między żytem i rowem

tak jest wąska, że może się pomieścić na niej zaledwie jedna osoba. Idziemy więc gęsiego: mąż przodem, żona w środku, ja z tyłu. Śmiejemy się i rozmawiamy wesoło. Las milczy, jakby go sen ogarniał, w istocie zaś ogarnęło go znużenie. Za chód niedaleko, ale skwar wielki. Kłosa stają nieruchome, jałowce i sośnina opuszczają w rów galezie — snu chcą, odpoczynku, bo gorąco im nieznośnie. Wioski ze słomianymi dachami widać zdala pod siwiałym lasem skoszonego siana — i cisza olbrzymia wszędzie. I nic tu na całym obszarze nie kłamie: ani las, ani zboża, ani kraski uciekające z sosny na sosnę — tylko my. Wśród tych cudów przyrody, jakie cię otaczają — ty tylko jesteś kłamstwem. Pan Leon rzuca co kilka kroków ukradkowe spojrzenia w tył, ja mam jednocześnie na ustach dwa uśmiechy: czysty uśmiech miłości — dla niej, i przyjacielski dla niego. Pod ostatnim kryje się nienawiść, ironia, wzgarda i... wstyd.

Helena idzie o dwa kroki przede mną. Aksamitny stanik otacza jej ramiona, ścisła w pasie, pamiętna, ulubiona sukienka czasami tylko pozwala dojrzeć brzeżek bucika, a głowę zakrywa w zupełności parasolka. Ani słowa, ani spojrzenia... A z nim rozmawia swobodnie, wesoło, śmieje się. Idę ze zwieszoną głową, wyczekując końca tego spaceru...

Wtem zrywa nieznacznie kłosek żyta, potem drugi, trzeci, czwarty... Zza parasolki wysuwa się małańka, obnażona do łokcia rączka, a w niej skromny bukiet z sześciu kłosów żyta. Porwałem go i namiętnie przycisnąłem do ust. Węć pojała... I oto nieme wąsaty badyle stanowią głębię, z której w umiesieniu czytelnik wyrazi jakiek, ach, nie — jeden wyraz: kocham”.

Ta stroniczka — a równie pięknych niewiele znajdzie nawet w późniejszych twórczości Żeromskiego, to arcydzieło godne stanąć obok stron Flauberta — nie, raczej obok takich obrazów jak „Coquelierts”

(Dokończenie na str. 6)

WILHELM MACH

„Nowa Kultura” we Wrocławiu

1.

Autorem niniejszego artykułu jest w istocie zespół „wieloosobowy”. Składa się on w pierwszym rzędzie z korespondentów-wolontariuszy, którzy ostatnimi czasy ślą nam coraz częstsze listy z uwagami na temat naszego pisma w ogóle, bądź na temat wybranych zagadnień. Odczytaliśmy z listów — poza różnorodnością konkretnych spraw — wspólny im wszystkim, powtarzający się apel: podejdźcie do nas, do czytelników, bliżej — chcemy z wami dyskutować, rozmawiać bezpośrednio, szeroko i szczerze, dokładniej i wszechstronnie niżby na to pozwolił zapisany gęsto nawet papier. Przyjście, niech wam powiem o naszych potrzebach i o myślnym o was, niech usłyszycy o waszej pracy i czego potrzeba wam. — Odczytaliśmy ów apel z nadwyżką, w jego pełnym domyślnym sensie: jeśli dla nas i o nas — to z nami, z naszym udziałem. Chcemy, by „Nowa Kultura” była trybuną naszych wspólnych myśli, obrazem wspólnych dążeń, wspólną naszą pracą. — W nadwyżce redakcyjnej uwagi przy odczytywaniu listów pomieściliśmy i zrozumienie oczywistej słuszności życzeń, i świadomość wciąż jeszcze niedostatecznego związku z naszym dyskutantom. I ich głosy, obok wspomnianych na wstępie listów, składają się na właściwe autorstwo tego sprawozdania.

Pierwszą — w zamierzonym cyklu — rozmowę z czytelnikami „Nowej Kultury” odbyliśmy dnia 18.XI. br. we Wrocławiu. Wybór Wrocławu nie jest tu przypadkowy. To, że ośrodek wrocławski zajmuje drugie z kolei, za Warszawą, miejsce w statystyce poczynności naszego pisma, określa nie tylko emocjonalnie nasze redakcyjne zobowiązania. Wyśoka cyfra statystyczna jest jednym z argumentów obiektywnych, świadczących o chłonności kulturalnej miasta wraz z jego terenowym zapleczem. Ważny teren — Dolny Śląsk, „zielone zagłębie” rolnictwa, obszar przodujący w kolektywizacji

wsł, jedno z najmłodszych, lecz najbardziej odpowiedzialnych i najwięcej obiecujących województw Polski Ludowej. Ważne miasto — Wrocław przywrócony polskości, strzegący historii, którymś spod nieprawych pieczęci prusactwa i hitlerizmu dobyli, i budujący historię nową, naszą, trudem robotnika z Pafawagu, myślą i słowem badacza naukowego z Ossolineum, pracą uniwersytecką studenta, dzieckiem polskiej czy dalekiej wsi, co za rok — dwa będzie nauczycielem, lekarzem i — w każdym zawodzie — aktywistą społecznym, rzecznikiem władzy ludowej i krzewicielem kultury na tej jakże cennej, jak Polsce drodze, a jak czujnej i czulej granicznej ziemi.

Udaliśmy się zatem do Wrocławia — sześciuosobowa grupa pracowników redakcji — nie tylko ciekawo sądu czytelników o „Nowej Kulturze”, lecz również z uwagą nastawioną na problemy współczesnego naszego życia, problemy zarówno te, które Wrocław dzieli wraz z całym krajem, z wszystkimi jego dzielnicami, jak i te, które wynikają ze specyficzności lokalnej środowiska. Częstą refleksją i obserwacją zdobyliśmy sami — lecz dwudniowy tylko pobyt we Wrocławiu niewiele by nas pouczył. Zyskaliśmy znacznie więcej dzięki naszym dyskutantom. I ich głosy, obok wspomnianych na wstępie listów, składają się na właściwe autorstwo tego sprawozdania.

2.

Dyskusja nad „Nową Kulturą” wyłoniła sporo spraw i spostrzeżeń, stanowiących przedmiot naszej powszedniej redakcyjnej rozprawy, i nowych. Sporo spraw tylko „wrocławskich”, lecz również i takich, które zachowują znaczenie i aktualność poza tamtym terenem. Reprodukować przebieg zebrania dyskusyjnego z „chronologią” głosów, z listą mówców? — nie to najważniejsze, — Raczę — wydożyć

podjęte zagadnienia i powierzyć je wszystkim naszym czytelnikom.

Liczymy na to, że szeroka konfrontacja opinii odbiorców dopomoże nam w roboczym planie pisma, w konkretnym ustosunkowaniu się do dyskusyjnych i jeszcze nie rozstrzygniętych alternatyw.

Wrocławskie spotkanie zgromadziło aktyw czytelników, rekrutujących się głównie spośród pracowników naukowych i studentów uniwersytetu, kadr dziennikarskich, działaczy kulturalno-oświatowych, związków twórczych. Nie zabrakło głosu czytelników nie związanych zawodowo z pracą w dziedzinie kultury: przemawiał więc i robotnik-samouk, i ktoś z „inteligencji technicznej”, i ekonomista... Liczne przemówienia ułożyły się w ciąg dyskusyjno-polemiczny o takiej — w przybliżeniu — zawartości:

— Czy tytuł „Nowa Kultura” nie kłóci się z podtytułem „Tygodnik Związku Literatów”? Tytuł zapowiada i obiecuje treść nie tylko literacką i nie tylko spraw literatury dotyczącą. I obietnicy nie dotrzymuje. A szkoda. Bo dla kogo jest pismo, jaki jego adres? Czy dba jedynie o ludzi zajmujących się literaturą? W zamiarze — chyba nie. Lecz podtytuł odstrasza „niefachowców”. Do czego natomiast zobowiązuje tytuł „Nowa Kultura”? Do ogarnięcia pełnej współczesnej problematyki humanistycznej. Więc — obok literatury — historia i filozofia, socjologia i ekonomika, prawo i problemy moralne, również medycyna i przyroda, również technika... Oczywiście, w przystępnej, atrakcyjnej formie, bez „specjalistyczności”...

— Nie podobna! Organ ZLP nie udźwignie ciężaru uniwersalnego magazynu. I zetraci swą specyficzność, swój charakter. Są od różnych potrzeb różne pisma. W obrębie zaś zagadnień sztuki nie ma potrzeby zajmować się innymi, poza literaturą i dramaturgią, dyscyplinami, skoro czyni to „Przegląd Kulturalny”. Gorzej jednak, że i w

to na komunistę, najwyższym celem Jego działania było — jak sam to podkreślał — dobro rewolucji.

Zegnając Go minister Stanisław Skrzyszewski na zebraniu żałobnym Narodów Zjednoczonych powiedział m. in.:

Andrzej Wyszyński, z którym jeszcze wczoraj późnym wieczorem prowadziliśmy rozmowę, nie żyje. Ta straszna i nieoczekiwana wiadomość wstrząsnęła całą naszą delegacją. Trudno zebrać myśli, trudno zebrać słowa.

Straciłmy człowieka, który miał znaczenie nie tylko dla ZSRR, swojej ojczyzny, ale również dla wszystkich narodów świata, a w szczególności dla Organizacji Narodów Zjednoczonych. Odszedł od nas wielki żołnierz o sprawę pokoju. Zmarł na posterunku śmierci żołnierza.

Naród polski traci swego wielkiego i wypróbowanego przyjaciela. Chylimy czoło przed Jego pamięcią. Walka o sprawę, której bronił, na której froncie umarł, trwa. O tę sprawę, której całe życie poświęcił Andrzej Wyszyński, narody będą dalej walczyć. O tę sprawę będzie walczył naród polski, nie cofając się przed żadnym wysiłkiem tak jak uczył nas walczyć Andrzej Wyszyński. Ja sprawa zwycięży.

tej swojej „literackiej” linii nie zachowuje „N. K.” konsekwencji. Np. dorywczo i od przypadku do przypadku informuje o życiu teatralnym.

— Jeszcze dotkliwsze są w „N.K.” sprawy napotyczne a nie dokonane, dyskusje bez zamknięcia i konkluzji, interwencje bez „podania rezultatów”. Tak było z „literaturą 20-lecia”, „humanistyką uniwersytecką”, „sprawą podręczników”, „dyskusją o młodzi”... Niepokoją również efemeryczne „działy” i „felietony”, które pojawiają się i po dwóch-trzech numerach znikają... A czytelnik pragnie, by dyskusja była skuteczna lub bodaj teoretycznie zamknięta, lubi też porządek i regularność w publikowaniu stałych rubryk.

— Lepiej nieregularnie a interesująco, niż ciągle i nudnie. Unikajmy „monopoli” stałych rubryk i „monopoli” tych samych nazwisk pod felietonem. Warto odpocząć, spauzować, gdy temat wieden. Niech się nie pisze „na siłę”, jeśli nie ma istotnego powodu. Felietony np. filmowe, na ogół atrakcyjne, słabną czasem, bo zbyt częste. Ankieta „pisarzy wobec 10-lecia” stanowi poważne osiągnięcie. Lecz w miarę trwania zdążyła ochłodzić uwagę czytelników — i może trzeba nadać jej inną formę... Byłe odmiana formy i jej różnorodność nie były pozorem, maskującym braki materiału...

— Zasadniczą zaletą pisma jest jego ofensywność. To nieprawda, że zasklepia się w sferze spraw tylko literackich. Reaguje na życie kraju. Podejmuje zagadnienia społeczne, boląceki terenu (np. w reportażach „mazurskich”) i — co najważniejsze — nie stroni od nurtujących nasze społeczeństwo „drażliwych” dyskusji światopoglądowych i moralnych. Niech takiej aktualnej publicystyki jak artykuły o młodzi, jak essay Arciszewskiego, będzie jak najwięcej. Arciszewskie

(Dokończenie na str. 6)

R o z m o w y z k a n d y d a t a m i

St. R. Dobrowolski

wiedzy, damy sobie radę w inny sposób. Trzeba będzie wyrzucić naski na podniesienie tempa budowy tamtejszego budynku kinowego, która przedłuża się w nieskończoność.

Stanisław Ryszard Dobrowolski mówi o wielkich koncertach i imprezach masowych w Śródmieściu na wzór organizowanych dotąd przezwadnie na peryferiach: na Bielanach, w Powsinie. Słyszeliśmy uwagi na temat rozmieszczenia księgarń, w które tak uboga jest Warszawa Południowa.

— A jak według pana zapowiada się realizacja tych wszystkich zamierzeń?

— Jestem przekonany, że powiększenie udziału literatów, aktorów i innych pracowników kultury i sztuki w pracach komisji kultury znacznie rozszerzy i usprawni jej działalność.

Kończąc rozmowę Stanisław Ryszard Dobrowolski dodaje:

— Chciałbym mocno podkreślić, że pracę literatów w Stołecznej Radzie Narodowej uważam także za bezcenne źródło doświadczeń pisarskich, możliwość pogłębiania znajomości terenu, potrzeb i najbardziej dotkliwych bolączek i konfliktów społecznych.

Nast.

Na oknie — perkalikowe firaneczki w różowe kwiaty. Za oknem — dół pod fundamenty nowych domów i rusztowań okrywających bogate, ozdobne ściany pałacu prymasowskiego przy ul. Miodowej. Małe biurowo-empire. Nawet lampa na nim — też antyk.

Staromiejskie mieszkanko i wszystko w nim staromiejskie. Nawet te perkalikowe firaneczki jak gdyby przeniesione z przedmiejskiej mansardy młodej szwaczki nie raz, zgodziły się ze starymi meblami wnętrza i starym pałacem za oknem.

Na ścianach wiszą drzeworyty: renesansowy spichlerz, gotycka brama, fragment starego miasta. Kraków? Sandomierz?

— Dostałam te drzeworyty w Czechosłowacji. Byłam tam wtedy, kiedy ukazało się pierwsze wydanie „Dziwcząt z Nowolipki” po czesku. Pan myślał, że to przypomnia Kraków, lub Sandomierz? Ależ właśnie dlatego zawiesiłam te sztychy tutaj.

Cała twórczość Poli Gojawiczyńskiej od jej pierwszych „Dziwcząt z Nowolipki” i „Rajską jabłoni” do ostatnich („Stolica” i „Dom na Skarpie”) powieści związana jest tematycznie z Warszawą. Bo też i całe życie pisarki z Warszawą i życiem warszawskiego ludu było i jest związane. „Może i wstyd mi się do

tego przyznawać, dzisiaj, kiedy tak modne są zagraniczne wojaże literatów, ale niewiele razy przez warszawskie rogatki przekroczyłam”. Rozmawiamy o Warszawie tej dawnej i tej dzisiejszej. Żaden stary mieszkaniec stolicy nie może tego co było, od tego co jest oddzielić. Na każdej ulicy, każdy kamień, każdy zakręt, drzewo, załamek muru wywołuje jak najbardziej osobiste wspomnienia.

...Dom na ulicy Brzozowej, dom pod Messalką na Krakowskim Przedmieściu, dom na Nowolipkach.

— Do tyłów domu pod Messalką przylegały uroczyste oficyny z drewnianymi gankami. Ciągnęły się aż do starego gmachu szpitala Sw. Rocha. Nie ma ich już. Ale sam dom jest odnowiony, przywrócony do dawnego wyglądu — może nawet piękniejszy niż dawniej? Do mojego staromiejskiego domu wędruję często. Mieszkają tam inni ludzie, nie znam ich, ale wydaje mi się, że ich życie musi być w taki sposób podobne do mojego, wtedy. Życie każdego mieszkańca Warszawy musi być w jakiejś mierze podobne, chociażby podobieństwem ukochania miasta, jego uroku...

— Słucham wspomnień, jak najbardziej osobistych wspomnień pisarki i myślę, że to jej osobiste związanie ze stolicą zaważyło na pewno na fakcie wysunięcia jej kandydatury na radnego do Stole-

cznej Rady Narodowej i na tym, że tę kandydaturę mimo niebyt dobrego stanu zdrowia — przyjęła. Myślę, że dziewczęta z Nowolipki choć dawnych Nowolipków już nie ma, wróciły przecież do Warszawy. Ze pamiętają o swojej pisarce. I że ona o swoich bohaterkach też pamięta. Drobnomieszczańskie sentymentalizm? Może (przecież znaleźli się krytycy, którzy dopatrzili się tego elementu w twórczości Gojawiczyńskiej). Ale fakt, pozostaje faktem: „Dziwczęta z Nowolipki” są do dziś jedną z najpopularniejszych (szczególnie wśród kobiet) powieści, każdy kolejny nakład znikną z półek księgarskich już po kilku dniach. Nie jest też bez znaczenia porównanie: Nowolipki wczoraj, Nowolipki dziś.

— Dla mnie — mówi Pola Gojawiczyńska — „Dziwczęta z Nowolipki” to nie tylko powieść autobiograficzna. To rzecz przywołująca pamięć o losie dziewcząt warszawskich w dobie kapitalizmu, bezrobocia, wyzysku. A czy wszystkie problemy i konflikty obyczajowe i moralne z tej powieści są już tylko historia, anachronizmem? Nie sądzę. Kiedy rozmawiałam z młodymi czytelnikami, takimi, które wychowały się już i wyrosły w latach władzy ludowej, słyszałam od nich opowieści i opowieści te, losy bohaterów tych opowieści, przypomniały losy bohaterów z „Dziwcząt”. Oczywiście, że ogólnie rzecz



biorąc bardzo wiele zmieniło się w świadomości i psychice młodzieży, Młodzież ma nowe perspektywy. Nie ma i nie będzie bezrobocia. Ot, chociażby zabawy na ulicach — nie do pomyślenia dawniej, świadczą o obyczajowych zmianach. Nie można jednak twierdzić, że zmieniło się wszystko. Że nie ma wpływu drobnomieszczańskich. Albo — że nie ma — nieszczyśliwej miłości. Jeśli więc mówi ktoś: „Dziwczęta z Nowolipki” i „Rajską jabłoni” to powieści drobnomieszczańskie, to nieaktualny problem, niech pomyśli: czy aby powieści te czytane w dzisiejszych warunkach nie mają wymowy raczej — antydrobnomieszczańskiej?

Właśnie: Nowolipki wczoraj i Nowolipki dzisiaj.

Przez cały okres międzywojenny i przez całą okupację chodziła Pola Gojawiczyńska na Nowolipki. Siedziała w secesyjnej kawiarni z kucykami i buketami zasuszonych kwiatów na Lesznie, kupowała kwiaty u starego ogrodnika przy kościele, przechadzała się po „skwerku Kwiryny”.

— Nigdzie indziej nie było i nie będzie tak pięknych hiacyntów jak u tego starego ogrodnika...

Kiedy wróciła po wojnie, z całej ulicy została tylko na gruzach obita z emalii białoniebieska tabliczka: „ul. Nowolipki”. Nie kontynuują teraz Gojawiczyńska swoich sentymentalnych na Nowolipki pielgrzymek. Dawnych Nowolipków nie ma i już nie będzie. Nigdy.

— Kiedy przypominam sobie stare Nowolipki, patrzę na nie przez pryzmat mojej młodości. Szkoda mi ich. Wydają mi się czasem we wspomnieniach nieomal piękne. Nowe, pudełkowe bloki osiedla Muranowskiego — nie skłaniają do wspomnień. Nie chwalebny architekt dzisiejszego Muranowa. Ale jakże przyjemnie wiedzieć, że na dzisiejszych Nowolipkach nie ma suterenu. Że wszystkie okna są duże. Że mieszkania są widne i ciepłe. Że są ładne świetlice. Że... czy uważa pan zagadnienie hoteli robotniczych za ciekawe?

Mówię to, co wiem o robotniczych hotelach, i dziwię się nagle zmianie tematu.

— Zastanawiam się nad tym, czy — jeśli w wyborach zostaną wybrana na radną — pracować w komisji opieki społecznej czy w komisji kultury. I tu, i tu jest niewątpliwie bardzo dużo do zrobienia. A chcę zrobić możliwie dużo.

— To znaczy?

— Dużo spraw związanych z pracą Rady Narodowej przejmuję mnie głęboko, dużo z nich mnie boli. Chciałabym warunki mieszkaniowe robotników. Zła praca Urzędu Kwaterunkowego. Wydaje mi się np., że zbyt wielu urzędników sprządaż do Warszawy różnorakie instytucje i ministerstwa — przybyłyby ci otrzymujący od razu mieszkania. A dlaczego robotnik warszawski, który buduje nowe domy, gnieździ się często jakimś ohydny „kajem” wraz z rodziną? Dlaczego pracownicy kultury, kierownicy warszawskich świetlic, a nawet często — literaci, mieszkają w przypadkowych dziurach i norach? Doceniam wagę pracy bucharów z prowincji, ale jeśli tak dalej pójdzie, Warszawa zostanie zakwaterowana do szczytu urzędniczym z prowincji”. Albo inna sprawa: Standaryzowanie pracy świetlicowej. Wzory okólnikowe obowiązujące dla wszystkich świetlic nie uwzględniające specyfiki — jakże od siebie różnych! — dzielnic Warszawy. Wóć jak pan myśli. Komisja opieki społecznej czy komisja kultury?

Patrzę na pisarkę, która dotąd wpłatała stale do rozmowy przypomnienie o tym, że nie jest już pierwszą młodością, że zdrowie też nie takie, jak przedtem. I wydaje mi się, że tamto — było nieprawdą. Bo przecież najważniejsze jest działanie. Pola Gojawiczyńska pisze nową, trzecią po wojnie powieść. Piszę znów o życiu Warszawy. Zna życie współczesnych jej mieszkańców, przejmuję się nim, i chce to życie zmieniać nie tylko pracą pisarki, lecz również bezpośrednio, społeczną działalnością.

Czyż nie jest to młodość? Kós.

*) Prezydium Rady Ministrów i Min. Gosp. Komunalnej wydały w ostatnim czasie przepisy surowo ograniczające nieregularną politykę cenową spowodowaną przez pracowników spoza Warszawy przez instytucje warszawskie. (Red.)

Pola Gojawiczyńska

WANDA MELCER

Trochę lukru

PIERWSZE ZEBRANIE

czętownie dokumentów na węgiel, na dodatek rodzinny — i łagodzenie sporów o podział piwnicy w czym specjalnie celuje nasz przewodniczący jako że ma anielski charakter. Odbieramy komisynie naprawy dachowe. Wiosną walczyliśmy w ogrodach z liszkami, ze szczurami i myszami zimą. Założyliśmy sklep, a raczej wznowiliśmy działalność tego, który istniał przed wojną. Użytkaliśmy od Rady Narodowej teren na boisko i zagospodarowaliśmy je pryzorycznie: młodzież przychodzi tam latem grać w siatkę.

KOMITETY A RADY

Komisje blokowe najniższy organ samorządu terenowego, znają wszystkich obywateli osobiście i mogą wnikać w takie sprawy, które umykają ojcom miasta. Czy jednak miały zawsze ze strony Rady Narodowej pomoc, na którą zasługiwały? Nie, nie zawsze. Ukazałem sprawę, która przez cały rok nie mogła się doczekać załatwienia, wędrującą poprzec Radę od urzędu do urzędu, ale nie jedyną to taka sprawa. Pewien radny z poprzedniej kadencji miał sprawować opiekę nad naszym blokiem: nie oglądaliśmy go u siebie ani razu w ciągu półtora roku. Przyszedłono nas innemu. Pamiętam, siedzieliśmy na zebraniu niemal w komplecie — a odbywamy je w czwartki co dwa tygodnie. Nastroj uroczysty: radny zapowiedział się telefonem. Mija godzina, druga, załatwiliśmy wszystkie nasze sprawy — ciągle nic. Rozeszliśmy się, dni mijały, nie uważałem nawet za stosowne usprawiedliwić się. Potem rozchorował się podobno ciężko — i znów zostaliśmy bez opieki.

TEMPO, TEMPO!

Ołbrzymia to robota, dokonać wielkiego przeobrażenia, które się teraz planuje, wielki to krok naprzód w zagospodarowaniu świadomości ludzkiej. Nowe wybory do rad narodowych to głęboki przełom, jakiego dokonują nasza partia i rząd budując władzę ludową od wewnątrz, w świadomości obywateli. Ale późna ta budowa wznosi się na gruncie do pewnego stopnia dziesiętnym, który, jak na peryferiach miast, zaczyna dopiero przeorywać komitety blokowe. Inne instytucje słabo to docierają. Nie ma Ligi Kobiet, brak TPPR, nie pracuje Liga Przyjaciół Żołnierzy. Nic też dziwnego, że powstały pewne niedociągłości i nie dlatego się o nich mówi, żeby je piętnować, ale żeby z nich wyciągnąć naukę na przyszłość.

Wiele przede wszystkim: czy przygotowywać prace przedwyborcze nie zaczęły się na tych terenach zbyt późno? Technika pracy — bo nie wiem, czy wszyscy ją znają — była taka: obok zakładów pracy cała ludność wystawiała kandydatów do rad dzielnicowych. W tym celu łączono parę bloków w jedną całość, formując kolejne komitety obwodowe Frontu Narodowego. Powołać te komitety miały tak zwane instytucje szefujące, parę większych zakładów pracy w danym obwodzie. Ale i te instytucje zbyt późno zostały powiadomione o swojej roli i niedokładnie ją znają. Trzy instytucje, które się nami opiekowały wezwały nas początkowo jako komitet wyborczy, który dopiero na drugim zebraniu przeobraził się w komitet Frontu Narodowego. Mokotów wybierał wprawdzie 250 radnych, ale większość z nich wyszła z zakładów pracy, wiele obwodów zupełnie nie wybierało radnych, my między innymi. Powiedzieliśmy nam, że nie ma tu nikogo, kto nadawałby się na to zaszczytne stanowisko.

trzeba — z przeproszeniem — do kucelków.

TROCHĘ LUKRU

Wielokrotnie robi się pisarzom zarzut, że lukrują rzeczywistość, ale przecież w takiej sprawie nie zawadziłoby trochę lukru. A ja czytałam taką ostatnio wydaną broszurkę propagandową, jak to jedna kobieta, przewodnicząca Frontu Narodowego popatrzyła, popatrzyła (w takiej samej sytuacji) i spytała, na kiedy dokumentacja robót wodociągowych? Na rok 1955 — odpowiedziano jej. Nie — ona na to — trzeba ją wykonać zaraz, już, na wczoraj! I oczywiście tak się stało. To ja też tak samo spytałam i tak samo mi odpowiedziano i ja spróbowałam tak samo odpowiedzieć — ale oczywiście wody w dalszym ciągu nie ma, a tu obok stoi dom, gdzie jest ośmioro małych dzieci i coraz nowe przychodzą na świat — a wody ciągle nie ma!

JESZCZE „WIEM WSZYSTKO”

Sympatyczny krzykacz, u którego znalazł się teraz w mojej eksploratorskiej podróży, to tegi młody człowiek w sportowym ubraniu. Twarz ma otwartą i przyjemną, szumi cały i pieni się energią i chęcią działania.

— Od razu powiedziałem, że to za wielki obszar i nie omyliłem się. Za dużo bloków połączono, a tylko dwa bloki powinny tworzyć obwód. No to my właśnie już założyliśmy własny Obwód Frontu Narodowego i wybraliśmy radnych, więc po co ja mam jeszcze do was chodzić?

Prawie mnie przekonał, choć na dzień tego przekonania tają się wątpliwości.

A domy po lewej stronie ulicy?

Tak, te domy nie należą do ich obwodu, tylko do naszego, ale on i to załatwi i będą razem. Wszystko wie, wszystko załatwi, w nie nie wątpi, a taki jest przy tym młodziemczy i sympatyczny, że doprowadzi ma się ochotę wierzyć temu, co mówi. Wychodzę uspokojona — ale potem okazuje się, że wszystko nie tak. I nie dwa bloki, tylko dziewięć, i tamte domy muszą głosować u nas a nie u nich, i tylko jedno jest prawdą: założyli obwód i pracują. Ostatecznie to najważniejsze!

ZOBACZMY TE ŚWIETLICE...

w której ma się odbyć zebranie Genowefy. Na Ksawerowie błoto lśniące i tłuste (mamy doskonałą ziemię w tej stronie Mokotowa), ulica rozkopana, pod nogami kołyszą się deski. Dobrze, że wzięłam wysokie kalosze! Schodzę ostrożnie do piwniczkiowego lokalu, a że Genowefy nie ma w domu, wdaję się w rozmowę z dwiema spotkanymi obywatelkami.

— Co to za porządku — mówią — świetlica zamknięta od dwóch miesięcy, ludzie na kupie siedzą, a tam takie ogromne mieszkanie puste. (Kole je to w oczy). Niech pani zajrzy oknem, widzą.

Zaglądam oknem, ale nie nic nie widzę, firanki przeszkadzają. Firanki są zresztą czyste, na parapecie parę doniczek, chyba ktoś podlwa kwiaty, stwierdzam z wprawą zawodową Sherlocka Holmesa. Ale, jak mówią dalekie kobiety, ona, ta Genowefa, nigdy nie przychodzi, a jak świetlica była otwarta, to chuligani grali tam w karty i wodę chcieli, a tak przekinali, że we wszystkich mieszkaniach było śmiech.

— Podobno chuligani dostali pracę?

— Kto tam dostał pracę, może trzech, a tu tych drabów z piętnastu i synowie porządkowych rodziców, nie można powiedzieć. Pani wejdzie do

(Dokończenie na str. 7)

Jest — poza środowiskiem literackim — duża grupa ludzi, którzy znają Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego nie tylko jako poeetę, lecz także jako działacza społeczno-politycznego przede wszystkim zarówno z okresu międzywojennego jak i z dni dzisiejszych. Każdy kto choć raz rozmawiał z nim, czy widział go przemawiającego, wie jak wiele on ma energii. Każdy kto bliżej zetknął się z nim czy to przy pracy nad organizowaniem teatrów robotniczych, czy w ZAIKS-ie, czy w radzie czytelnictwa, zaświadczy: dobry organizator.

Ale nie chodzi tutaj o litanię zasług. Zwróciliśmy się do Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego w konkretnej sprawie w związku z wysunięciem jego kandydatury na radnego do Stołecznej Rady Narodowej.

Stanisław Ryszard Dobrowolski jest wieloletnim, doświadczonym radnym miejskim. Jego kandydatura w obecnych wyborach jest więc w pewnym względzie — wyrazem tradycji. Na pytanie jakie zadania widzi przed sobą jako radny, odpowiada:

— Sprawa, która najbardziej leży mi na sercu i którą chciałbym się szczególnie zająć, jest wychowanie młodzieży warszawskiej: walka z chuliganizmem.

— Wiele konkretnie: jakich należałoby użyć środków zaradczych i jakimi posłużyć się tu metodami? Bo jak się już przekonaliśmy problem nie należy do najłatwiejszych.

— Oczywiście. Propozycja, jaką chciałbym przedstawić, wypływa z doświadczeń wyniesionych z mojej współpracy, jako kierownika literackiego, z „Mazowszem” i nowo utworzoną „Warszawą”. Widzę jak bardzo taka działalność wciąga i ambicjonuje młodzież. Wydaje mi się, że należałoby tworzyć takich zespołów jak najwięcej i jak najrozszerzając: taneczne, śpiewarskie, teatralne, a także jakieś ogniska plastyczne umożliwiające uzdolnionym uprawianie tej sztuki jako amatorskiego zawodu artystycznego. Kraków ma już za sobą tego rodzaju eksperymenty z bardzo pozytywnymi rezultatami. Oczywiście są to przedsięwzięcia dosyć kosztowne, ale na pewno warto znaleźć na nie pieniądze, gdyż zainteresowanie młodzieży w aktywnej pracy kulturalnej, będzie obok sportu jednym ze skuteczniejszych sposobów wychowywania. No cóż — kończy poeta — to na razie wszystko co mam na ten temat do powiedzenia. Przymyślenie szczegółowego planu i metody działania będzie należało do szerszego grona osób.

— Czy są jeszcze jakieś inne potrzeby i bolączki, którymi chciałby się pan specjalnie zająć, wysunąć je na plan pierwszy w pracach przyszłej rady?

— Och, tych spraw jest tyle i tak są różne, że nie podejmuję się ich nawet wymienić w krótkiej rozmowie. No, choćby na przykład warszawskie kina. Spróbujmy sobie wyobrazić plan Warszawy, uwzględniający także „geografię” kin. Wszystkie kina koncentrują się w Śródmieściu. A co mają robić entuzjaści filmu z bardziej odległych dzielnic — mieszkający Woli na przykład?

— Zdaje się jednak, że planowanie budynków kinowych i ich budowa to sprawa następująca wiele trudności i nie leżąca bezpośrednio w kompetencjach nawet najbardziej przedsiębiorczych radnych...

— Oczywiście, toteż szukamy mniej kosztownych i szybszych środków zaradczych. Istnieje na przykład sale kinowe przy zakładach pracy. Jedną z nich odkryliśmy przy zakładach im. Kasprzaka na Dworskiej. Sala ta naprawdę nie jest w pełni wykorzystana i powinna być jak najszybciej oddana do użytku publicznego. Zaspokoiłaby przynajmniej częściowo „głód filmu” na Woli.

— Wiele powiedzmy, że sprawa kina na Woli na razie załatwiona. Ale co z innymi dzielnicami? Czy w naszej zatłoczonej Warszawie znajdziemy wiele takich niewykorzystanych pomieszczeń?

— Będziemy szukać. Nie jest to jednak jedyna forma rozwiązywania tych kwestii. Z Muranowem, po-

NA POCZĄTKU BYŁ KOMITET

Nie wiem dokładnie, kiedy powstał komitet blokowy, początkowo nie brałam udziału w jego pracach, na czele stał jakiś dowiepniś, który zbudował drogę do swojego domu i przestał się interesować dalszymi jego losami. Wtedy „władza” przesyła w inne ręce a ja weszłam do komitetu jako sekretarka. Zaczęły się zebrania z sympatycznymi kolegami z „dużego domu” przy Alei Niepodległości, gdzie mieszka kilka rodzin robotniczych, No i zaczęło się pie-

Dramatopisarz o teatrze

Wuwagach niniejszych idzie mi zasadniczo o sprawę współczesnego dramatopisarstwa; zacząć wobec tego wypadnie od — teatru. Tych rzeczy nie da się oddzielić, to jasne. Związki są tu głębsze niż tylko to, że napisana sztuka teatralna zaczyna swoje życie prawdziwe od premiery w teatrze — związki są głębsze choćby dlatego, że nawet w wypadku, gdy ta sztuka weszła już na scenę, jest grana, na widowni są ludzie, a w gazetach recenzje — wątpliwe często być może, czy życie danej sztuki jest istotnie prawdziwe. Różnie pod tym względem bywało w historii. Sięgamy do starych kronik teatralnych, po doświadczenia historycznie sprawdzone.

Przypomnijmy tu w kilku słowach koleje losu, jakie przeszło jedno z wybitnych dzieł teatralnych, wypadek zresztą nie odosobniony — myślę o scenicznym losach „Czajki” Czechowa.

Prapremiera „Czajki” odbyła się w październiku 1896 roku w Teatrze Aleksandryjskim w Petersburgu. Grali doskonali aktorzy tego teatru z Komissarzewska w roli Niny. Przedstawienie skończyło się kompletną klęską; rzadko kroniki teatralne notują aż takie fiasko. W. Jermilow w swojej książce o Czechowie tak o tym pisze: „Na widowni dojrzała atmosfera skandalu. Odzywały się głosy niezadowolonia, rozległy się gwizdy. Czechow, blady, siedział z początku na widowni, potem poszedł za kulisy, ale i tam nie doczekał końca przedstawienia. Był już rzeczą zupełnie jasną, że fiasko jest kompletne. Aktorzy byli oszołomieni, zmieszani i grali coraz gorzej. W tej sytuacji grała żona Komissarzewska, w której Czechow pokładał wszystkie nadzieje. Zupełnie zdruzgotana, recytowała tekst powstrzymując łkanie”.

Czechow po wyjściu z teatru, wstrząśnięty, włóczył się w nocy po Petersburgu, a o świcie, nie pożegnawszy się z nikim, wyjechał.

Po dwóch latach „Czajka” ukazała się na scenie moskiewskiego Teatru Artystycznego i odniosła olbrzymi sukces; Stanisławski wspomina: „Na widowni entuzjazm był ogromny, a na scenie... całowali się wszyscy, nie wyłączając osób obcych, które wdary się za kulisy”.

Cóż zatem się stało? Przecież to była ta sama sztuka, w odstępie tak krótkiego czasu? Czyżby jakieś zdarzenia społeczne wyniosły ją na fali nagłej aktualności? A może autor tak znakomicie przerobił swoją sztukę? Nie podobnego. Wy tłumaczenie tego zadziwiającego faktu jest inne: teatr petersburski „zle odczytał” tekst sztuki, jak byśmy to dziś powiedzieli, teatr moskiewski natomiast wydobyl właściwy charakter sztuki, wyciągnął „podtekst”. Teatr Aleksandryjski przekazał widowni jedynie zewnętrzny stronę sztuki, formalnie rzecz zalał, nie dorósł do nowatorskiej dramaturgii Czechowa, przeoczył specyfikę jego pisania; istotą tej specyfiki, mówiąc najkrócej, jest to, że pod powierzchnią zjawisk codziennych, pospolitych idzie nurt drugi. Czechow tak to określa: „Ludzie jedzą obiad, tylko jedzą obiad, a jednocześnie rozstrzyga się ich szczęście, łamie się ich życie...”

Teatr petersburski przeoczył tę zasadniczą cechę sztuki... A recenzenci? Czy zauważyli? Skąd! Zaraz po premierze zaczęła się nagonka na pisarza i w gazetach wydrukowano sądy bardzo groźne i bardzo stanowcze. Na szczęście, od wyroków tych była apelacja. Ale tylko dlatego, że w tym czasie znalazł się teatr czujny, gorący, daleki od rutyny: w tym mniej więcej czasie Stanisławski i Niemirowicz-Danzenko założyli w Moskwie Teatr Artystyczny.

Lekcja na temat scenicznych losów „Czajki” jest pouczająca, nie należy jej generalizować, ale warto pamiętać.

W najnowszej naszej historii dramatopisarstwa nie ma, oczywiście, „Czajki”. Niestety, nie ma również Teatru Artystycznego; to drugie zjawisko wydaje mi się, jest groźniejsze!

Bo na napisanie arcydzieła nie ma recepty ani Związek Literatów Polskich ani Ministerstwo, natomiast sposób na zorganizowanie teatru o ambicjach artystycznych, z określoną polityką repertuarową z celowo skomponowanym zespołem, z sensownym i nie dymisjonowanym co jakiś czas kierownictwem, sposób — powiadamy — na zorganizowanie takiego teatru Ministerstwo K. i S. powinno mieć i to od dość dawna. Tym bardziej, że państwo ludowe daje na ten cel olbrzymie środki, a rewolucja ustrojowa miliony wspaniałych widzów.

Nie wszystkimi błędami, jakie obserwujemy w naszym życiu teatralnym, mamy prawo obciążać Ministerstwo K. S., czy CZT. Faktem jednak jest, że zbyt liczne już kryzysy natury organizacyjnej przetrastają w kryzys innych dzie-

dzin życia teatralnego, tych, które decydują o fizjonomii artystycznej teatru.

Opinia i krytyka coraz częściej wspominają o szarzyźnie naszego teatru, o konserwatywnej sztamie niektórych inscenizacji, o zbyt daleko posuniętej ostrożności w stosunku do nowatorstwa teatralnego. Twierdzą krytycy, i nie bez racji, że brak naszym teatrom wyraźniejszej indywidualności artystycznej, często jeden teatr od drugiego różni się tylko nazwą. Przy opracowaniu sztuk stosuje się dość szlampowe metody. Mówiąc przesadnie, tym samym pędem maluje się Gorkiego, co i Jurandota.

Nie zapominamy o niektórych naszych sukcesach teatralnych, ale byłoby szkodnictwem nie spostrzegać i nie mówić o ideologicznej i artystycznej anemii niektórych scen. Sprawy te nie są obojętne dla formującej się współczesnej naszej dramaturgii.

Wszyscy chcemy dobrego teatru. Wizyty teatru Brechta, teatrów radzieckich, teatru Vilara jeszcze mocniej zaostroszyły w nas tę tęsknotę. Jednocześnie poszerzyły spojrzenie na niedomagania naszego teatru.

Wiadomo, że dobry, interesujący, wybitny teatr zacząć się może — czasem od inicjatywy zapaleńców — czasem od wybitnego dzieła literackiego — czasem od wybitnej indywidualności reżyserskiej czy aktorskiej — ale na pewno zacząć się musi od doskonałego opanowania teatralnego rzemiosła. Niestety, przykro mi to nawet napisać: siedząc w teatrze często nie rozumiem polskiego języka i z tęskną zazdrością wspominam, jak to się słuchało, gdy mówili aktorzy moskiewskiego Teatru Małego czy paryskiego TNP. Dykcja i sztuka mówienia nie są to rzeczy blache.

Dotykam to tych, to owych niedomagań naszego teatru, głównie pod kątem interesu dramaturgii współczesnej. Tylko za pomocą teatru możemy mówić. Zła dykcja aktora to jest złe miejsce w naszym tekście, szablon i niewrażliwość reżysera to w praktyce szablon sztuki i niewrażliwość autora. Twierdzenie to jest, oczywiście, słuszne i na odwrót: talent reżysera czy aktora jest istotną poprawką naszego tekstu, piękne oczy aktorki to także nasz tekst na scenie, ale tekst podarowany nam przez teatr. Wiemy również dobrze, że zły tekst autorski jest rozpaczą dla aktora.

Nie umiemy jeszcze pisać dobrych sztuk o tematyce współczesnej. Boję się jednak, że teatr nie jest przygotowany do wystawiania takich sztuk. Bo niewątpliwie wartościowa sztuka o temacie dzisiejszym będzie pod jakimś względem nowatorska. Nowatorstwo to niekiedy może być ekstrawagancje formalne, jakieś narzucające się efektywne „chwyty”, może być nowatorstwo tak utajone jak było w „Czajce”. Autor sztuki wypowiada się nie tylko w dialogach i akcji, tj. w samej zasadzie sztuki dramatycznej — autor wypowiada się również w pewnym rytmie konstrukcyjnym, w celowych ograniczeniach i przemilczeniach, czasem w szczegółach na pozór mało znaczących i trudnych do obronienia przed reżyserem, czy aktorem, a które według wrażliwości autora są konieczne, by je zachować w tekście czy przedstawieniu, bo — powiedzmy — notują jakąś szczególną reakcję nowego człowieka, reakcję, która nie miała przedtem wzoru. Wszystko, co nie miało wzoru, jest podjęte w obliczu rutyny.

Sztuka teatralna aby żyć — musi iść do teatru. Nie zawsze, jak wiemy, znajduje tam dobre warunki bytowe. Podstawą dla rozwoju polskiej współczesnej literatury dramatycznej jest przełamanie wielu kryzysów (od ideologicznych do technicznych i administracyjnych), jakie z różnym natężeniem trapią nasze teatry. Taka jest teza niniejszych uwag, teza celowo uproszczona, aby wyraźniej odwrócić kierunek utartych już i obiegowych opinii: że jeśli już w naszym życiu teatralnym jest co słabego to — współczesne sztuki.

Zajmijmy się teatrami; jeśli tam się poprawi wiele rzeczy — łatwiej będzie oddychać współczesnej dramaturgii. Tym bardziej, że są oznaki, iż polska dramaturgia powoli przezwycięża u siebie kryzys. Wystarczy wspomnieć, że na przestrzeni ostatniego roku ukazały się sztuki, co do których nie trzeba było stosować „taryfy ulgowej”, że sztuki te ściągają i ściągają do teatrów olbrzymią ilość widzów, że wzruszają widzów, interesują, bawią, niektóre z tych sztuk odniosły sukcesy i za granicą. Oczywiście, nie dokonały tego bez pomocy teatru.

Tam, gdzie teatr zawodzi, klęskę się gotuje większym dziełom niż nasze sztuki: pamiętamy, jak w Teatrze Narodowym nie wyszedł cało Gogol, a w Teatrze Kameralnym jeszcze gorzej ucierpiał sam Molier. Jeśli w utworach wielkich dramatopisarzy, jakiś aktor niedo-

brze zagra, to znaczy to tylko tyle, że niedobrze zagrał — a u współczesnego pisarza może się to nazywać dużo niebezpieczniej: błąd ideologiczny sztuki! Wielcy pisarze dramatyczni dawnych epok poza talentem mają jeszcze i tę przewagę nad nami, że w naszych teatrach nie wystawiają prapremier!

„Pisarstwo stało się dziś — pisze Leon Kruczkowski w poprzednim numerze „Nowej Kultury” — niezależnie od stopnia talentu czy geniuszu — trudniejsze niż dawniej. Nie ze względu na rzekomą konieczność „wybierania z nader ograniczonej liczby „dozwolonych” tematów, konfliktów i rozwiązań” (...), ale właśnie ze względu na bogactwo i dynamikę tych tematów, na burliwość naszego życia, na napięcie toczącej się walki, na nowość zjawisk, na tempo i rozległość przemian”.

I dlatego właśnie współczesna dramaturgia, bynajmniej nie zrywając z dawnymi kanonami, musi szukać również nowych znaków i nowych zaklęć, bo nie wszystkie sezamy dzisiejszych treści społecznych i ludzkich otwierają się dawnym kluczem. I stąd szczególna odpowiedzialność teatru w stosunku do współczesnego pisarstwa scenicznego; najbardziej czujni reżyserzy, najbardziej utalentowani aktorzy mogą odegrać tu olbrzymią rolę: pomóc autorowi w pokonaniu trudności; pomóc będą mogli pod warunkiem, że sami zaangażują się osobiście, że będą grali i reżyserowali, że pójną na ryzyko artystyczne; o ryzyko tu łatwiej i o przegraną łatwiej. Rozumiem: interesujące, wspaniałe, do tego potrzebne przedstawienie klasyka — to i krok naprzód teatru i jeszcze jeden liść do laurów wienca wybitnego reżysera, aktora czy scenografa. A sztuka współczesna... Myślę tu o ambitnej sztuce, tj. takiej, która rzeczywiście chce coś powiedzieć o współczesności — otóż sztuka taka będzie chyba miała dość dużo błędów, więcej błędów niż sztuka mniej ambitna — sztuka taka poza tym niesie z sobą wiele zagadnień i ideologicznych, i warsztatowych... Co robić? Według na ogół stosowanej dotychczas praktyki teatralnej sztukę taką powierza się... mniej eksponowanemu reżyserowi, nie temu sławnemu, w trosce, by ani jeden liść nie spadł z głowy laureata. Zdaje się, że praktyka taka nie jest słuszną. Gdyby laureaci-dyrektorzy, laureaci-reżyserzy, laureaci-aktorzy szli do tej czarniejszej roboty, do sztuk współczesnych — okazywałoby się, że mamy więcej sztuk wartościowych niż czytaliśmy (a jeśli nie dziś, to jutro będziemy mieli) — i na odwrót: gdybyśmy tych mało eksponowanych reżyserów i aktorów posyłał do sztuk klasycznych, do ról czolowych, efektownych, okazałoby się, że mamy więcej doskonałych reżyserów i aktorów niż przywykliśmy liczyć.

Jeśli ta propozycja budzi czyjeś wątpliwości, pozwalam sobie zacytować Goethego: „Tylko przez działanie można rozproszyć wszelkie wątpliwości”.

Kazimierz Korcelli



Szadrin (Kurnakowicz) w rozmowie z Leninem (Woszczerowicz)

KAMILA CHYLIŃSKA

A s z k o d a !

nie jestem recenzentem ani teatrologiem. O przedstawieniu „Człowieka z karabinem” Pogodina w Teatrze Narodowym piszę ze względu na wyrażenie i światło politycznych. Stało się bowiem tak, że z przedstawienia tego uleciał całkowicie oddech rewolucji. Ze sceny, która wibrować powinna tętnem historii — ziele szaryznę i apatię. Ze zamiast dynamiki, zawartej w sztuce, pokazano nam szereg obrazów mechanicznie się sumujących, statycznych, nie dążących ku żadnej dramatycznej kulminacji. Ze widowisko, które mogłoby kipieć życiem, temperamentem, optymizmem — było jadowite i nijakie. I stało się uroczyste tak, że z widowiska tego publiczność wyszła zimna i nieporuszona.

Wszystko to składa się na fakt polityczny. Wszystko to znaczy, że bogaty ładunek agitacji za socjalizmem, nagromadzony w dziele Pogodina, został zmarnowany. Jest to poważna szkoda.

Potencjalne możliwości wzruszeniowego działania na publiczność są w „Człowieku z karabinem” również wielkie, jak trudne do realizacji. Świadomość widza biegnie ustawicznie od tego, co widzi na scenie, do tego co wie o dniach, które wstrząsnęły światem. Rzecz jasna, że stosunek emocjonalny do tego, co się wie, ustanawia w jakiś sposób wymagania wobec tego, co się widzi. Konfrontacja jest ostra, rezonans błyskawiczny — gdyż owa wiedza to cenzor niestychanie czujny, wra-

liwy na każde przeciągnięcie struny, na każdy nietakt wobec wielkości, na każdy szczegół nie dorosty do prawdy. Tylko wielka koncepcja dramaturgiczna i reżyserska może udźwignąć Lenina, jego prawi d z i w e czynny i prawi d z i w e słowa, jego towarzyszy walki, owych pierwszych żołnierzy rewolucji. Podobnie, jak na przykład — by sięgnąć do przykładu z innej dziedziny sztuki — tylko wielka proza „Zorane ugoru” udźwignęła i artystycznie wbudowała w dzieło literackie znaczenie prawi d z i w e g o artykułu Stalina dla sytuacji i rozwoju kolchozów. Granica między udźwignięciem wielkości a profanacją, między triumfem artystycznym a fiaskiem artystycznym — biegnie tu niewątpliwie przez niebezpieczny tor przeszkód.

Nie wyliczam tych trudności po to, by usprawiedliwić teatr i reżysera. Byłoby to dla nich krzywdzące. Mam głębokie przekonanie, że tego właśnie reżysera i ten właśnie zespół stać na udźwignięcie „Człowieka z karabinem”. Pod warunkiem, że całej struktury widowiska nie oprze się jedynie na dwóch filarach najwspanialszych chociażby kreacji aktorskich. Gdyż nawet doskonały Woszczerowicz — Lenin i nawet świetny Kurnakowicz — Szadrin nie są w stanie zapelnąć pustki koncepcyjnej, wyraźnie wyczuwalnej w całości przedstawienia.

Trudność problemu polega na znalezieniu środków wyrazu dla wielkości i dynamiki historycznego momentu. Wadomo przecież, że su-

ma drobno pokrojonych kawałeczków prawdy nie daje jeszcze obrazu prawdy. Realizm to coś znacznie więcej niż nagromadzenie rekwizytów, akcesoriów i najprecyzyjniejszych nawet szczegółów tła obyczajowego. Realizm to jeszcze owa dośrodkowa siła, syntetyzująca świadomie i celowo najistotniejsze cechy tworzywa, owa siła akcentu, siła wzruszeniowego uwydatnienia. Nie było niestety śladu owej syntezy w przedstawieniu „Człowieka z karabinem”. Zamiast rwącego naprzd strumienia życia zobaczyliśmy szereg nieruchawych fotografii, upozowanych w dodatku na modłę dość staroświecką. Zamiast ekranu historii — fotoplastikon.

Myślę, że zbyt łatwo zrezygnowano z dramatycznego zagęszczenia, z prawa teatru do artystycznego skrótu, do kondensacji napięcia i wzruszenia. Gdyby nie Kurnakowicz i Woszczerowicz, wszystkie sceny byłyby na dobrą sprawę do siebie podobne. Sztuka jest o rewolucji — a w przedstawieniu, prawdę mówiąc, nie się nie piętzy ani nie rozwija. Sztuka jest o władzy ludu — a w przedstawieniu lud zachorował na ciężką anemię. Sztuka jest o ścieraniu się dwóch światów — a w przedstawieniu konflikt maleje do rozmiarów sportowej potyczki. Sztuka jest o Leninie, ukończonym wodzu milionów robotników i chłopów — a w przedstawieniu Lenin nie bardzo ma kim dowodzić i — co gorsza — po za Szadrinem — Kurnakowiczem nie bardzo jest komu kochać Lenina. A przecież reżysera i zespół stać niewątpliwie na spektakl dynamiczny i gorący. A przecież gdyby sięgnąć do tradycji inscenizacji schillerowskich — można by znaleźć znacznie bogatsze środki wyrazu dla realizacji „Człowieka z karabinem”. Co więcej, można by znaleźć impuls do szukania nowych środków wyrazu.

Sądzę, że owa metoda układania prawdy z drobnych kawałków, prawie jak klocków w dziecinnej zabawie, zniekształca jakoś sprawę umowności w teatrze. W konsekwencji takiej metody wychodzi bowiem na to, że umowność to ciężka kula u nogi, niebezpieczna rafa, którą należy ostrożnie omijać. Tymczasem, jak świat światem, umowność w teatrze nie była „złem koniecznym” — jest ona natomiast jednym z prawideł, bez których teatr przestałby być teatrem. Sztuka największych dramaturgów literatury światowej nie polegała bynajmniej na niwelowaniu czy tuszowaniu umowności, lecz na nasyceniu jej treścią artystyczną, zgodną z naczelną ideą dzieła. I myślę, że realizacja sceniczna, która lekceważy umowność teatru, zaskodzi tak „Antygonię”, „Hamletowi”, „Faustowi”, czy „Kordianowi” — jak i „Człowiekowi z karabinem”, choć oczywiście nasilenie szkód będzie różne. Jest to sprawa szersza, może niedojrzała jeszcze do precyzyjnej klasyfikacji, lecz — jak mi się wydaje — dojrzała na pewno do dyskusji.

Na zakończenie apel: „Człowiek z karabinem”, sztuka, która oddycha historią, zasługuje na nowe przemyslenie, na koncepcję godną zarówno dzieła, jak i utrwalonego momentu historycznego. Z rewolucją na scenie jest jak z rewolucją w życiu: jeśli nie promieniuje — umiera. Może by więc warto skłonić twórców przedstawienia, by zastanowili się nad tym, jak naprawić szkodę polityczną, wyrządzoną zarówno teatrowi, jak publiczności. Bo przecież w naszych czasach nie wolno dać umrzeć rewolucji — nawet na scenie.

Kamila Chylińska

MIECZYSLAWA BUCZKÓWNA

W I E R S Z E

SPEKTAKL

Szary człowiek zdjął uniform roboczy,
I w wizytowej czerni siadł w teatralnej łoży.
Dramat nocy i krwi się zakończył,
A nowy spektakl on sam tworzy.
Więc siadł jak widz, jak aktor i jak autor,
Trójosobowy z jednej bryły.
O, jego ręce nie tak łatwo
Będą oklaski biły.

DZISIAJ O ŚWICIE

Jak łąka stratomana gdy podnosi zieleń
Na wysokość lata
Jest moja ziemia.
Zieleń wyrosła na krwi i popiele,
W jej gorzkich kwiatach
Jest siła zapomnienia.
Wysoko, samolot ochrypli skowronek
Wyżej podnosi ciszę
W zamiary nieba czyste,
Tę łąkę, ziemię bierze w obronę,
W skrzydłach kołyszę
Jak dziecinna icołysk.

ASTRONOMIA

Przepaścią migotliwą drżało okno.
Zgasila gwiazdy na niebie
Dotykając ustami twych powiek.
Obrażony nieboskłon
Spojrzał odchodząc za siebie
I cisnął meteorom.

— Widzisz, rozniewałaś niebo —
Powiedziałeś,
A ja z dziecinny uporem
Wieżlałam schwytaną wysokość
W zawrotnie małej
Planecie mojego serca.

WIEŻNIOM GRECKIM

W przeciągu czasu zatrzęsnały się drzwi,
Za nimi na śmierć skazana epoka
Pięściami argat bije ze wszystkich sił.
Słuchamy toż bez zmużenia oka.

Wyrokiem zbrodni zatrzęsnały się drzwi,
Na śmierć skazani ludzie za drzwiami
Nagimi pięściami biją ze wszystkich sił —
Z uderzeń iskry padną na dynamit.

PRZESZKODA

Tyle miast zgaszono.
Miliony zatrudnionych w życiu
Zredukowano.
Spustoszone inwentarz sztuki
Skuteczniej niż armia moli.
Na nerwie szaleństwa
Zawieszona śmierć wodorowa.
Roczniki dorosły do wymarszu.
Żywność puchnie w blaszankach.
Tylko jeszcze nieprzewidziana przeszkoda:
Ludzie myślą, myślą — mogą się rozmyślić.
Trzeba to zlikwidować!
Ale jak?
Żołnierzowi do czasu potrzebna będzie głowa.

JANINA PREGER

Opowieść o domu i dzieciństwie



Opowieść Sowińskiego*) powstała z sentymentu do kraju lat dziecińczy Stefana Żeromskiego, do krajobrazu, który był wspólnie bliski i wielkiemu pisarzowi, i jego biografowi — i z zamiłowania do książek Żeromskiego, w których te miejsca i przeżycia młodości zostały utrwalone. Wyraziło się to szczególnie w części pierwszej utworu: wiele wdzięku ma tu rysunek krajobrazu i ludzi, którzy go niegdyś zamieszkiwali. Pejzaże Sowińskiego nie nużą „opisowością”, są zajmujące jak liryka. Przy tym kreślone są ze swobodą i bez egzaltacji. Powstaje z nich urozmaicone i tworzące głębię obrazu tło, na którym żywo i prawdziwie występują portrety ludzi epoki minionej i toczy się życie codzienne rodziny Żeromskich.

Przyjemnie uderza na początku utworu owa „przeźreń powieściowa”, w której postaci uzyskują swobodę życia i ruchu jak w świecie trójwymiarowym — swoboda wynikająca z nieskażonego zasobu wyobraźni beletrysty. Pięknie więc nakreślony jest portret matki Żeromskiego, wymownie skonstruowana scena, gdzie pani Żeromska po raz pierwszy wobec małego syna rzuca wyzwanie caryzmowi, wzruszającą odwrotność są przeżycia chłopca znudzonego czuwaniem przy drogiej chorej, jego pełne niepokoju marzenia sennie i moment przebudzenia — już jako sieroty. I ów epicki tok dni i prac w gospodarstwie, których śmierć nie może zakłócić, gdyż służą nadrzędnemu celowi — utrzymaniu plonu, utrzymaniu środków egzystencji. Ta perspektywa spojrzenia, która pozwala wzruszająco ukazać tok życia ludzkiego — jest obecna w opowieści o latach dziecińczy Żeromskiego.

Dom rodzinny Żeromskiego, obraz dzieciństwa i wakacyjnych pobytów zostały w powieści nakreślone z przekonującym odczuciem. Czytelnik cieszy się klarownością obrazów, opowaną narracją, w której jest nie tylko wczucie się w przedmiot, ale i niezbędny powieściopisarzowski dystans, zrozumienie spraw pozwalające widzieć rzeczy we właściwych proporcjach i ukazywać je plastycznie.

W każdym razie zadanie, jakie postawił sobie w tej książce autor: wypowiedzieć uczucie do tej samej ziemi, którą kochał i wypowiadał Żeromski, wyrazić ów nurt uczucia pokrewny i wspólny z wielkim pisarzem — to zadanie powiodło się Sowińskiemu.

I właściwie większych ambicji w utworze nie widać. Ziemia Żeromskiego i książki Żeromskiego, z tą ziemią związane otrzymały tu hold uczucia przemawiający i przekonujący. Metoda, jakiej użył Sowiński, posługiwanie się montażem cytów z „Syzyfowych prac”, „Promienia”, „Ludzi bezdomnych” — ujawnia wyraźnie tę intencję biografą: nieraz woli użyć drogi mu słów pisarza, niż obrazów własnych.

W początkowej części powieści, gdzie Sowiński zarysował żywo własne obrazy, ta metoda ma istotnie wymowę dowodu przywiązania do ulubionych tekstów. Ale w dalszym toku książki — metoda montażu (cytowanie lub parafraza dużych części dziennika Żeromskiego) zaczyna odbierać samodzielność twórczą Sowińskiemu i kępować beletrystę. Traci on swobodę powieścioparską i zaczyna pojmować swoją rolę tylko jako interpretatora. W rezultacie książka mówi nam przekonująco tylko o latach dziecińczy Żeromskiego — ale nie o latach szkolnych.

Wprawdzie w ujęciu materiału dostarczonego przez „Dziennik” Żeromskiego Sowiński okazał również zalety, które nadają wdzięk intelektualny jego książce. Wiele spraw będących tematem „Dziennika” podał z tym niezbędnym „grano salis”, z którym należy przyjmować egzaltowane elegijne autoportrety. Nie bez racji więc z krytycznym uśmiechem wzmiankował pierwsze porwy uczuciowe Żeromskiego. Umiejętność spojrzenia z dystansu jest zaletą również drugiej części książki Sowińskiego. Ale nie usunęła ona skrepowania wyobraźni powieścioparskiej, które widać na tych kartach, coraz to uboższych już w obrazy, w samodzielną akcję.

*) Adolf Sowiński: Lata szkolne. Opowieść o Stefanie Żeromskim. PIW, 1954, str. 337 i 3 nbl.

Wskutek tego obraz lat szkolnych Żeromskiego jest niki.

Czytając tę powieść nie powinniśmy oczywiście popełniać owego błędu, aby szukać u Sowińskiego portretu człowieka, który jest autorem „Ludzi bezdomnych” i szeregu dzieł, przemawiających niezapomnianym głosem sumienia społecznego. Ale oczekujemy obrazu tego, kim już wtedy był Żeromski i jakim go „Dziennik” przedstawia. I tutaj spotyka nas zawód. Trudno nie zgodzić się z Henrykiem Markiewiczem (recenzja w „Życiu Literackim” z d. 5 września 1954) w sformułowaniu tego, czego brak w książce o „Latach szkolnych”.

Sowiński, mimo cytowania „Dziennika” nie ukazuje nam właściwie tak ciekawego rozwoju intelektualnego młodego Żeromskiego. Nie ukazuje nam pasji do wiedzy humanistycznej owego póżeracza książek. Nie interesuje się także tłem, „kierkowskim”, kieleckimi ciemnościami umysłowymi, w których szamotał się młody Żeromski. Biograf nie potrafi udzielić żaru budzących się uczuć społecznych tego ucznia, który co krok w „Dzienniku” zajadło mówi o swoim „republikanizmie”. Tej gorączki poszukiwań ideowych nie ukazał nam Sowiński, mimo, że w jego opowieści nie brak rozmaitych ideologicznych. Niestety mają one charakter moralizujący i nienaturalny. To, co było u Żeromskiego tak piękne — czułość jego sumienia na sprawy społeczne, budząca się w tych latach, w opowieści Sowińskiego nie ma żadnej siły przyciągającej.

W związku z tym, nie otrzymujemy właściwie obrazu życia szkolnego Żeromskiego. Książka nie oddawia nam także gorczy i radości koleżeńskich przyjaźni, korepetytorskich bied, markuje raczej tylko te wszystkie sprawy.

Zaletą ujęcia Sowińskiego był, jak już wspominałem, ów dystans do egzaltowanych zwierzeń ucznia, ale chyba biograf szedł nieraz za daleko w tym kierunku. Jak nie dał nam poznać głodu wiedzy, trawiącego ucznia A. G. Bema, tak i nie docenił nieklamanej żarliwości ucznia młodego Żeromskiego w jego pierwszym romansie, zanotowanym na kartach „Dziennika”. Wszakże nie było tak blahym przeżyciem to, o czym niejedno gorące wspomnienie odczytujemy w późniejszych dziełach wielkiego pisarza. Nie był też Żeromski w latach szkolnych tak nieźle sytuowanym synem klasy u przywilejowanej, schludnym elementem, jakby to wynikało z wersji Sowińskiego. Dotkliwa bieda i zmęczenie, wieczne korepetytorstwo — to były strony „lat szkolnych”, które nie spłynęły bez śladu po charakterze formującego się człowieka. Bieda i bunt, to sprawy, które ciekawiej i głębiej wyrzeźbiły indywidualność niezwykłego ucznia kieckiego, niż to nam przedstawia portret sympatycznego, zdrowego panica z „lat szkolnych”.

To ujęcie, które dał Sowiński, odznacza się w sumie pewną niezależnością myślową od legend „hagiograficznych” i sporą swobodą artystyczną, umiejętnością spojrzenia z zewnątrz, spoza sugestii dzieła. I to nie jest do pogardzenia.

Janina Preger

Moneta czy „Les hirondelles” Maneta. Wszystko to jest: i epoka, i wdzięk zawsze jednakowo kobiecy, i blask słońca, i impresjonistyczne rozdzieranie letniego pejzażu, lasu, żytynego pola, oddali... Nawet odrobina dziewiętnastowiecznej filozofii.

Takich kart w drugim tomie „Dzienników” jest sporo.

Jednakże nie stworzyłyby one tak interesującej całości, jaką stanowi ten tom „Dzienników”, gdyby nie



Mariensztat wg rycin z lat osiemdziesiątych

były rzucone na szeroko podmalowane tło miasta i kraju. Zdziwiałe, jak też „ciekawość poznawania”, z której sam Żeromski zdaje sobie sprawę, pozwala mu wszystkie najbardziej intymne zwierzenia i najbardziej artystyczne opisy, w których przyszły autor „Popiołów” przemierza swe pióro do rzeczywistości, uzupełnić obrazem świata, który go otacza. Ta „ciekawość poznawania” — a zarazem zmysł równowagi „romantyka realizmu” — zastępuje tutaj całkowicie zmysł kompozycyjny i sprawia, że „Dzienniki” są nie tylko dokumentem, portretem autora w młodości, ale i fascynującym dziełem literackim.

Żeromski, niewiele przemieszkował w Warszawie. Niewiele też o

niej pisał. Tymczasem z kart drugiego tomu „Dzienników” wstaje Warszawa z owych lat jak żywa, z jej „urbanistyką” (pozał się Boże), z jej obyczajami, tłumem jej ulic i wszystkimi zagadnieniami społecznymi i narodowymi, które nie mogły się zataić przed biednym studentem, doskonale umiejącym patrzeć na świat kochającymi ale zimnymi oczami.

„Ulubioną moją ulicą jest Krakowskie Przedmieście — pisze Że-

roski — oskarżającą prawdzie karty „Dzienników”.

Przerazająca jest samotność i bierność tego młodego nędzarza. Samotność — to nie tylko sierotwo, brak jakiegokolwiek opieki, brak serdecznego słowa. Samotność to także utrata jakiegokolwiek kontaktów klasowych. „Tak silny u Żeromskiego kompleks osamotnienia rodzinnego — pisze Andrzej Wasilewski — braku domowego uczucia, był w znacznej mierze, poza zrozumiałą tęsknotą za najbliższymi, uwarunkowany sytuacją życiową „bezdolnego” rozbitek szlacheckiego, dla którego rodzinny folwark stanowił gwarancję oczywistej drogi życiowej”. Ten syn szlacheckich dzierzawców ma zresztą wiele jeszcze wielkopańskich fochów. Nie zgadza się na rolę lumpenproletariusa, jaką mu los wyznaczył. W tych potwornych „siłach niedoli” jeszcze się stawia losowi jako były „paniczek”. Tego „stylu życia” nie podobna już nam dzisiaj pojąć. Żeromski przynosił np. sobie wodę z podwórza „pod połą pożyczanego pałta”, aby nikt nie widział, że sam sobie wodę nosi. Chleb zawija w papier i robi taką paczkę, że nikt by nie zgadł, że pan Żeromski (ma wtedy 22 lata) nie ma lokaja albo przynajmniej służącej do przyniesienia głodowych prowiantów. Dość łatwo posyła Annę w „Grzechu” na murarkę — sam najwyżej może zarabiać korepetycjami, kondycjami po wielkich domach. Mieszanina i sprzeczności zewnętrzne są tylko obrazem tego, co w jego wnętrzu się dzieje.

Żeromski waha się w wyborze zawodu. Pisze powieści, nowele, dramaty — z których do nas nie doszło. Wiara w pisarstwo wybiera w nim i gaśnie, waha się od rozpaczy do samouwielbienia. Szuka zrozumienia w redakcjach pism — ale ani Świętochowski, ani Gregorowicz nie poznają się na nim. Wielką potrzebą kulturową Żeromskiego — staje się teatr — i dziennikowi zawdzięczamy znakomite, obfite i bardzo interesujące teatralia — jedną z najcenniejszych stron tej książki, oświetlającej również życie Warszawy i Warszawski z bardzo charakterystycznej strony.

Zaplatany w swoje skomplikowane perypetie psychologiczne, widzimy warszawski świat mieszczański i drobnomieszczański, przeoczył jednak Żeromski proletariatu naszego miasta. Charakterystyczna jest tęsknota jego do wsi — i do chłopca, którego widzi i pojmuję doskonale, i którego niedoli poświęcił tak ważne strony swoich dzieł. Gdy się wybiera do Białej Podlaskiej pisze: „Nie czy Heleny mnie tam wabią — chłop bialski, jego dola, mój brat mój wola...” a potem: „Chłopa poznać, zgłębić jego duszę, patrzeć na jego życie, siedzieć w jego chacie i wolać go ku nam, ku narodowi... Jego odrzysować — to dzieło życia”.

I pragnąc poświęcić się temu wielkiemu zadaniu, dąży do życia, „choćby po gruzach szczęścia” — a „żyć — to pisać” — Żeromski pragnie zdobyć jak największą wiedzę i świadomość. Niestety warunki nie pozwalają mu na prawdziwie naukowe zrozumienie otaczających

zjawisk: „Taki to i szeroki horyzont mam ja, jak pantera zamknięta”. Czasy te kształtowały nie tylko temperament artystyczny Żeromskiego, ale także jego pojmowanie świata, które przez całe życie wkiwało się w sprzeczności nie do pogodzenia. Ważną rolę odgrywa tu właśnie ów ograniczony horyzont: nędza, niemożność systematycznego kształcenia się, brak jakiegokolwiek drogowskazów.

Pierwszy rok pobytu Żeromskiego w Warszawie (1886—87) jest rokiem powstawania pierwszych organizacji politycznych (Liga Polska) i młodzieżowych (Zet). Kółka studenckie samokształceniowe, nabierają dopiero charakteru politycznego i puczają się różniczkować. Pod względem ideologicznym panuje w nich nieprawdopodobny, zupełnie niezrozumiały dla nas dzisiaj chaos. W tym chaosie Żeromski znowu znajduje się osamotniony — nikt mu nie może dać jakiegokolwiek wskazówki. Ciężka to młodość — powoli wyłania się z niej umysł i charakter autora „Popiołów” — taki, jak go znam z jego dzieł. Ale kontakt z tą młodością wyjaśnia nam tak wiele w twórczych drogach pisarza.

„Dziennik” bowiem Żeromskiego stanowi szkice, zadatki, po prostu źródła jego pisarstwa. Stąd się zaczyna Żeromski jako pisarz. Cykl swoich pierwszych trzech nowel zatytułuje nawet Żeromski „Z dziennika”. Tu odnajdujemy pierwsze wrażenia miłości, nędzy, dumy — pierwsze „przemilczenia” faktów, z którymi się styka wrażliwy i żyjący pod podwyższonym ciśnieniem młodziem, pierwsze wyrazy wielkiego ukochania ojczyzny — i stąd wychodzą pomysły jego książek. Tu spotykamy Birutę i Siłackę, tu widzimy jak się rodzi typ „kobiety” Żeromskiego, tu mamy, — w beładnej lekturze literatury filozoficznej i ekonomicznej — zarodki wszystkich utopii autora „Przedwiośnia”. Na łamach „Dzienników” narodziły się wszystkie elementy pozytywne i negatywne, z których później składała się cała twórczość „Żeremiasza” od pierwszych nowel do „Przedwiośnia”. Charakterystyczne jest to, że z chwilą, kiedy Żeromski zaczyna pisać „do druku” i rzeczy jego „objawiają się systematycznie w piśmie warszawskich — zapiski nikną i „Dzienniki” przestają być powiernikami myśli pisarza.

Dlatego też nie można, — fatalnie podkreślić wagi świeżo wydanych dokumentów. Są one nieocenione jeśli chodzi o biografię i dzieje twórczości Żeromskiego. Ale mają też znaczenie dla historii całej owej epoki, oświetlają rodzenie się idealnego społeczeństwa — postępowych w zafanowanym społeczeństwie naszego kraju i pokazują, jak się przeżywały nowe idee, przelamywały w głowach ówczesnej młodzieży. Pisarz, historyk, polityk znajdzie w „Dziennikach” Żeromskiego obfity, interesujący materiał, dający mu wgląd zarówno w młodzieńczą psychikę wielkiego pisarza — jak i w chaotyczną zniekształconą przez ucisk caratu kuchnię rodzenia się nowych idei, nowych ludzi Polski współczesnej.

Jarosław Iwaszkiewicz

„Nowa Kultura” we Wrocławiu

(Dokończenie ze str. 1)

mu odpowiedział (zbyt emocjonalnie) Konwicki i zapewne zabiora głos inni. Nie bójmy się, że to lub inne stanowisko autorskie wydać się może „nierепрезентatywne”, „nietypowe”, „peryferyjne”. Zawsze ono wyraża zapatrywanie pewnej części społeczeństwa, a jawne ścieranie się poglądów, polemika, dyskusja ideologiczna przyczyniają się waleśnie do kształtowania ściślejszych kryteriów, coraz bardziej słusznych norm postępowania, nowych wartości moralnych. Ideologia „życia powszedniego”, ideologia sztuki socjalistycznej — to treści, które w znacznej mierze formujemy wspólnym obywatelskim wysiłkiem...

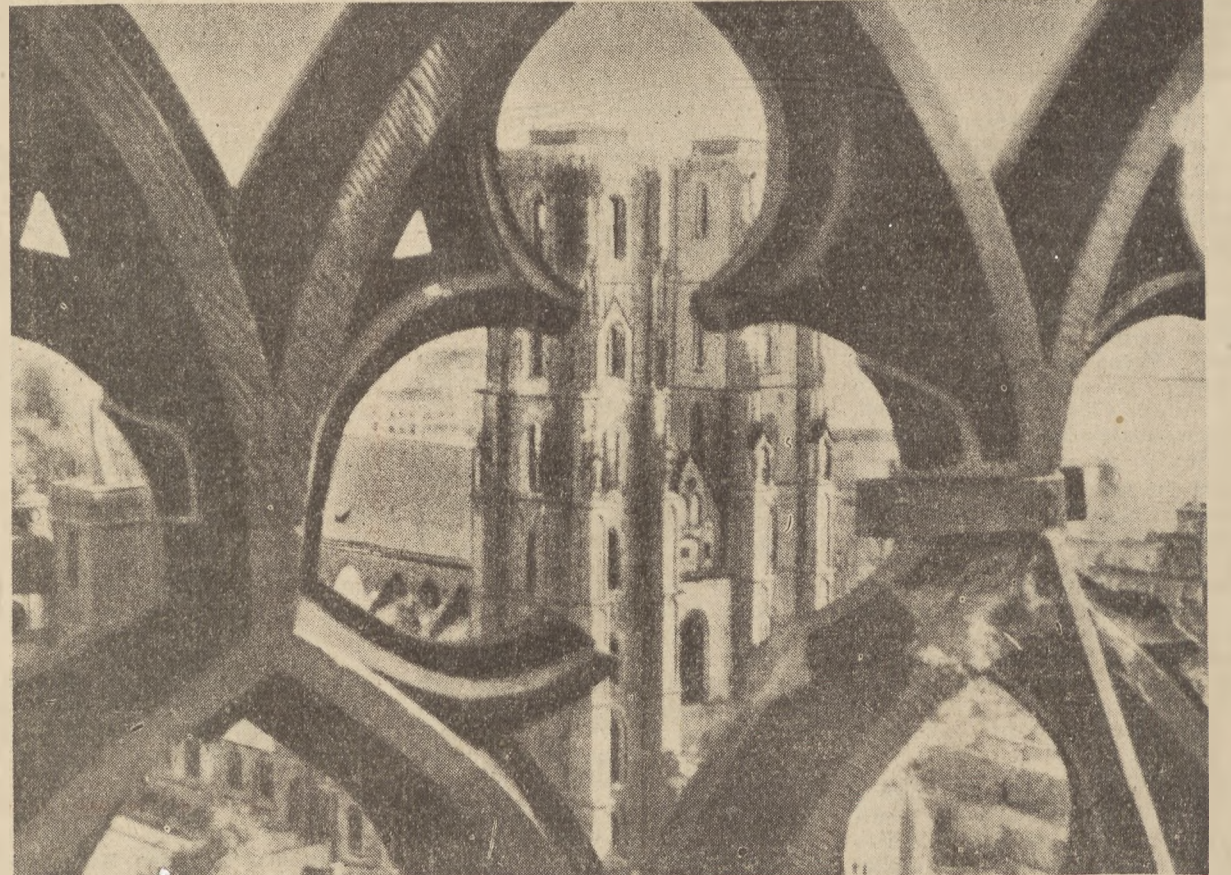
...lecz jakże często bywamy w tym hamowani i zastraszeni przez apodyktyczność talmudystów, przez nie podlegające dyskusji orzeczenia z pretensjami do słuszności wyłącznej i niejako „oficjalnej”... I jakże często błędy takiego dyskusyjnego „likwidatorstwa” i „komenderowania” dyskонтują nie mniej od talmudystów szkodliwi „liberalowie”, znajdując wygodny pretekst do moczenia i malkontentstwa. Pismo powinno być czujne na opinię społeczną, odważne, atakujące wadliwe objawy życia przed „urzędową” licencją dla krytyki. Schematyzm np. w sztuce dopiekl społeczeństwu grubo wcześniej, niż się z nim jawnie rozprawiano. Film „Żołnierz zwycięstwa” miał te same skazy, gdy go chwalili, jak i potem, gdy pisali o nim gorzej. XI sesja Rady Kultury spowodowała sporo zamętów wśród nie dość bystrych i przenikliwych czytelników, i jej słuszne wnioski, nie poprzeczone publiczną dyskusją i rzetelną pracą krytyków, wydały się niektórym „ustępstwem”, „recydywą formalizmu”. Dużo win zwalono dopiero po tej sesji na wydawców, redaktorów, „administratorów” — a szkoda, że tak długo z tym czekano, jeśli oskarżenie było słuszne. Szkoda też

że za mało czytamy o błędach popełnianych przez samych twórców.

— To sprawa — przynajmniej jeśli idzie o książki i teatr — krytyki literackiej. Jest ona u was na ogół solidna i słuszna, lecz spóźniona się, brak jej impetu, inwencji. I jest za mało sprawozdawcza, bez ujęć syntetycznych, bez głębszej dociekliwości teoretycznej, bez umiejętności szerszego uogólniania. Więcej artykułów posuwających naprzód budowanie estetyki marksistowskiej! Artykułów nie tylko o poszczególnych książkach, lecz o problemach, z których te książki czerpią swą treść. I jeszcze raz: więcej dyskusji o wszelkich sprawach, którymi naród żyje, które składają się na nasze w najszerszym pojęciu — budownictwo kultury. Bez hiperostrożności i asekuranctwa! To cechy burżuazyjne, cechy klas ustępujących. Marksizm nie zna „tematów drażliwych”. Nasz czytelnik chce szerszych myśli, śmiałych słów.

— Chce również jednoznaczności w tym, co czyta. W opowiadaniu Kowalewskiego „Dwa pokoje” obydwa partnerzy konfliktu mają jakąś swoją rację. I nie wiadomo, co w końcu o tym sądzić. A to błąd.

— Jednoznaczność — zgoda. Ale nie tak ciasno pojęta. Literatura nie jest zbiorem recept na wszystkie sytuacje życiowe. „Nowa Kultura” nie ma obowiązku służyć przepisami, jak np. załatwić klienta w urzędzie mieszkaniowym. Taką doradźnię, konkretnie działającą, „jednoznaczność dobrej porady” stosując skutecznie do działań interwencyjnych pism codziennych. W wielkich dyskusjach ideologicznych, światopoglądowych nie wszystko i nie od razu jest oczywiste. Jednoznaczny mi są tu kierunek działania, tendencja moralna, uczciwy niepokój sumienia, które szuka najlepszej drogi.



trudna to rzecz — bo ktoś ma o tym pisać? Materiał słabych nie wykorzystacie, a kto bardziej uzdolniony, bardziej rzutki — to już dawno w Warszawie... Centralizacja — a prowincja jałowiej, i głucho o nas w waszych warszawskich gazetach. Wziąć by chociaż nasze dolnośląskie, wrocławskie sprawy — dużoście o nich pisali w „Nowej Kulturze”?

3.

Tak, to prawda. Niewieleśmy pisali. Zadłużyliśmy się nie tylko u

wrocławian. Lecz jeśliśmy się do nich wybrali, jeśli dziś, wraz z powstaniem rozmowy, planujemy i druk materiałów „wrocławskich”, i dalszą dyskusję z czytelnikami, obmyślając trasę nowych wypraw, to dzieje się tak dlatego, że wsparł nas i pobudził do działania ciąg impulsów idących od czytelników. Cenna to, pouczająca dla nas inicjatywa — ów „ruch dośrodkowy”, „dowarszawski”, nie przypadkiem zbiegający się z akcją wyborów do rad, narodowych. Społeczeństwo również i w życiu kulturalnym, w

Trochę lukru

(Dokończenie ze str. 2)

pani Kowalskiej, ona wszystko opowie. Fatyguję się do młodej i ładnej pani Kowalskiej, mieszkanie zagęszczone do nieprzysłowności, powietrze również, nie wiem, jak tam mogą wyżyć rośliny, których dużo, ludzie wszystko wytrzymają. Jedno jest pewne: pani Kowalska nienawidzi pani Lubnińskiej i gotowa ją utopić w łyżce wody.

— Przede wszystkim one nie nazywa się Lubnińska, jak podaje, ale Sitko, Genowefa Sitko!

— Czy to nie obojętne? — mówię. Nie, okazuje się, że pani Kowalska nie jest to obojętne. I tu zaczyna się

SPRAWA GENOWEFY

Niekłatwo przyjdzie ją skończyć i nie jest wcale tak blaha jak się z pozoru wydaje. Kiedy wreszcie udało nam się zorganizować w szkole przy Woronicza masówkę, Genowefa nie przyszła, zjawiała się natomiast pani Kowalska, która pracuje zresztą w innym Komitecie. Przyszła w specjalnych celach: szkodzić tej Genowefie. Bo kiedy po dyskusji (uprzedzam wypadki, ale nie da się inaczej) odczytano z prezydium nazwiska i padło nazwisko Lubnińskiej, od krzesła pani Kowalskiej rozległ się głos:

— Genowefa Sitko! Przewodniczący zachęca do dyskusji, znajdują się dyskutanci, znów jest mowa o sekretarce, Genowefie Lubnińskiej, a tam znów pada konteksta:

— Genowefa Sitko! Nie, to wcale nie blaha sprawa. Bo i na tym skromnym stopniu ambicji grają, a niektórzy ludzie gotowi są na wszystko, byle tylko o nich mówiono, byle coś znaczyło, byle gdzie się dostać, byle zdobyć najmniejszą choćby władzę, byle ich się bał. Każdy chce mieć tę „wabę, co przed nim ucieka“ jak powiedział Krasicki. A żeby nie skończyć na tej jednej cytacie literackiej chciałabym wspomnieć jeszcze jedną — również przedwojenną książkę — mianowicie „Ferdynand“ Gombrowicza, gdzie parę rozdziałów było poświęcone temu, która z działających osób będzie nad którą dominować. Usterki w wymowie, nie dość ładnie brzmiące nazwisko — nawet i to jest dobre, by pokryć podziemny nurt nienawiści do drugiego człowieka: czy długo jeszcze ten drobnomieszczański obyczaj będzie nam macić pracę? Uwaga na boku: stara to dzielnica, ale czemu i planując nowe architektki nie przewidują pomieszczeń na urządzenia socjalne: wielkie czytelnice, świetlice, które powinny się znaleźć w każdym Komitecie blokowym?

NASI WSPÓŁPRACOWNICY

Jak wspominałam dyrektorka szkoły przy ulicy Woronicza z całą gotowością wypożyczyła nam lokal, instytucje szefujące wysłały agitatorów, agitatorzy obeszli domy i masówką, do której takżeśmy się przygotowywali odbyła się wreszcie w ostatnią sobotę. W tej szkole bronili się przez długie dni jeden z oddziałów powstańczych, nim go Niemcy nie pokonali. Pomalowali wtedy szkołę na wojenny kolor w młocę, krefe, zielonkawe pasy, żebym trudniej było trafić z dział — i tak te pasy pozostały. Teraz gmach został wykonany a władza ludowa

jego rozwoju, pragnie czynnie uczestniczyć, mieć prawo głosu i działania.

Pismo nasze, organ Związku Literatów, postara się sprostać tym słusznym dążeniom. Chcemy w znaczniejszej niż dotąd mierze podzielić odpowiedzialność za życie kulturalne kraju z ludźmi, którzy je bezpośrednio kształtują. Zdajemy sobie sprawę z trudności, jakie przyjdzie nam pokonywać w tej nowej praktyce redakcyjnej, i z tego również, że niejedna zapewne zdarzy się nam pomyłka. Lecz niech nam będzie wolno na apel czytelników odpowiedzieć również apelem — by naszą pobudkę przez nich wolę wsparli i własnym działaniem. Niech rozmowa wrocławska znajdzie szersze dopełnienie w ich uwagach, w głosach krytyki, życzeń, postulatów, a przede wszystkim — w czynnej współpracy z piśmem, w określaniu swej postawy wobec zagadnień poruszanych przez „N. K.“ i w samodzielnym, inicjatywnym poddawaniu własnych myśli, własnych propozycji, spraw własnego terenu. Przyda nam się każdy list i najdrobniejsza notatka, gdyż z zebranego w ten sposób materiału łatwiej nam będzie wyodrębnić zagadnienia znaczące w szerszej skali, ważne nie tylko w danym terenie.

Słusznie powiedział jeden z wrocławskich dyskutantów: „Nowa Kultura“ jest piśmem dla całej Polski. Nie dajmy się ponieść fałszywemu amocionemu partykularnym, że pojętemu „patriotyzmowi lokalnemu“. Jeśli artykuł o Wrocławiu — to taki, by zainteresował wszystkich, wszystkich pobudził do myślenia, pomógł w czymś i gdzie indziej. Nie będzie miał tych zalet — to wolę dobry reportaż o Mazurach“. Istotnie, chodzi nam przede wszystkim o głosy, które nie będą tylko kroniką nieznaczących wydarzeń w miejscowości X, tylko wezwaniem o interwencję w matylopowej sprawie obywatela Y, tylko wezwaniem z książką zażaleń. Chodzi nam najbardziej o głosy w ważnych dyskusjach ideologicznych, głosy o sile i nośności problemu.

Wilhelm Mach

wa oddała dzieciom do dyspozycji piękny ogród z doskonale wyposażonym boiskiem.

Przyznam się, że dawno nie miałam takiej tremy, jak przed tym zebraniem. Ile osób przyjdzie, piętnaście, pięćdziesiąt? Robimy jeszcze u mnie pośpieszną małą zbiórkę, żeby przygotować porządek dzienny. Jest towarzysz W., który opiekuje się nami z ramienia Dzielnicy i nasi dwaj niezawodni z komitetu blokowego, Zygmunt B. i kolega Bolesław O. Obaj ciężko pracują. Jeden jest pracownikiem Wytwórnicy Taśmy Filmowej, drugi, to kolejarz, z Zasobowni Dworca Wileńskiego. Zygmunt, zawsze wesoły, dobry do rady i pracy, wybudował niemal własnymi rękami drogę wzdłuż plotów, żeby wozy z opałem miały wolny wjazd do zamkniętych przez ogródki uliczek. Bolesław O. taki zawsze pogodny i inteligentny przychodzi czasem na posiedzenia z paroletnią córeczką. Sam pracuje rano, żona po obiedzie, a co zrobić z małą? Po drodze spotykamy jeszcze innego pracownika, kolegę W. „Będzie dużo roboty“ — mruczy, ale wiem, że jest zadowolony. Wszyscy mieli zebrania, wszędzie uformowały się obwody Frontu Narodowego, tylko u nas cisza. Teraz będziemy pracowali przed wyborami jak inni. Zygmunt uważa, że przed zebraniem trzeba włożyć przyzwolitą marynarkę, więc gdy idzie się przebrać, daję mu kartę papieru, na której dość niezdarne wypisał nasz numer i w której sali odbywa się zebranie. Niech zaraz przypnie tę kartę u wejścia, żeby ludzie wiedzieli, którądy się kierować.

MASÓWKA

Wicher dmie, jest zimno i ciemno, idziemy mroczną alejką między ogródkami działkowymi, z daleka prześwituje przez mgłę czerwony blask Pałacu Kultury. Nieliczne lampy, do których za dnia strzelają z procy młodociani chuligani, dają słabe światło. Wchodzimy, co za szczęście! Na sali przeszło siedemdziesiąt osób, niewielki to co prawda odsetek ludności zamieszkującej nasze bloki, ale bądź co bądź sukces, choć kulacy i drobnomieszczychy powstrzymali się od przybycia. Genowefa nie ma, sekretarzowania podejmuje się pewna uprzejma obywatelka z bloków wojskowych. Zagaja towarzysza W., rozpoczyna się prelekcja. Rozpowrzechnił się u nas niedobry obyczaj. Wyrobionych mówców daje się na dobrą salę, i dobrą publiczność, która orientuje się w polityce i czytuje książki i gazety. Odfajkowane! Lekceważy się zaś małe zebrania na periferiach. Przyszło do nas wielu starych mężczyzn i starych kobiet. I oni także są dumni, że mogą uczestniczyć w formowaniu Frontu Narodowego, serca ich drżą obawą i nadzieją, czy to będzie dla nich dostępne, czy się do czegoś nadadzą i co im to przyniesie. Cóż może im dać prelegent, używający trudnych technicznych terminów, klekąc swoją czytankę z kilku powszechnie znanych broszur? Z początku biorę kajet i notuję dziwoląg, jakie leżą mu z ust: „stan stopy życiowej“, „radość triumfu, która mać straszne rany stolicy“ — ale przykrzy mi się, za dużo tego. Stary człowiek w drugim rzędzie śpi, kobieta przykryła oczy. To dla nich abstrakcja: coż, że wybudujemy 170 kilometrów rur kanalizacyjnych, kiedy oni może mieszkają przy sto siedemdziesiątym pierwszym i cywilizacja do nich nie dojdzie? Trzeba im dodać otuchy, trzeba sprawić, żeby nie tylko nauczyl się dośpominać o swoje, nie tylko zrozumieli, że trzeba pracować, ale jeszcze żeby pojęli trudną mechanikę przemiany, żeby zrozumieli, jak rządzić takim dużym miastem, takim dużym krajem.

A TERAZ DYSKUSJA!

Nadszedziewanie obfita. Ludzie sądzą, że może i od razu coś dostanę, że ten, kto do nich przyszedł, mocen jest uczynić sprawiedliwość z ciekawymi kranami i wspólnymi licznikami. Skarżą się na lekarzy, na złych sąsiadów, na porządek w domach. Ale nie tylko to ich zajmuje. Przyszli tu z gorącym zaufaniem do władzy ludowej, w której nie nauczyli się jeszcze uczestniczyć, z którą nie potrafili jeszcze współdziałać, ale którą szanują już i kochają. Dla niektórych Warszawa jest jeszcze ciągle jak dojrzałe jabłko na talerzu, po które ani się schylać ani wspinać nie trzeba, ale ci, co chcą pracować, pracują ofiarnie i bezinteresownie. Umówiliśmy się, że sprzątaćki w szkole otrzymają pewną sumę za przygotowanie zebrania, ale nie chciały nie wziąć, choć to przecież dodatkowa robota. Pokwitujemy tu ich wkład w dzieło budowy socjalistycznej Warszawy! A jak zobaczą, że mężczyźni o sympatycznej twarzy w mundurze kolejarza, który z trzyniętą dziewczynką u boku pełni dyżur w lokalu Frontu Narodowego, wiedzie, że to nasz kolega, który pomimo trudnych warunków rodzinnych daje innym przykład ofiarności i dobrego rozumienia obowiązku społecznego.

Zakończony więc został kolejny obwód Frontu Narodowego. Dostaliśmy piękny lokal, zaczynamy normalną pracę. I niech się wszystkie obawy połączą w najprawdziwszą, najgodniejszą front narodowy dla zdobycia pięknej przyszłości.

Wanda Melcer

Kujawa nie wyszedł na szarwark od odmiatania śniegu, wyznaczono mu karę 300 złotych. Karę tę wypisła rada Krajewskiego i odtąd to trwa w Zielonej wendetta Krajewskich z Kujawami. Dlaczego Kujawa przeciw, wiadomo. Ale inni? Przecież wielu innych gospodarzy sprzeciwiło się kandydaturze Krajewskiego.

To prawda, nie byli w większości i dlatego ich w końcu uciszo. Czas najwyższy było przestać o Pegeerze a zacząć o własnych kandydatach.

11.

Dwuhektarowy gospodarz Michałski proponuje pierwszy. Wysuwa Leona Kosa i nic już więcej nie musi dodawać, bo nadzwyczajną kandydaturą przypada wszystkim do gustu. Głośno potakiwano, aż się stary Kos rumienił po czubki słomianych włosów.

Padają inne nazwiska. Te już badano bardziej skrupulatnie. Czy wywiązuje się z dostaw, czy nie zalega z podatkami albo czym takim, bo rzecz oczywista, że radny przykład musi dać w takich sprawach. Jeżeli Śniński dużo w życiu wycierpiał, jasna rzecz, że potrafi i innych klęski zrozumieć. Dlatego go wysunęło.

Zetempowki domagają się młodzieży na radnych. Bardzo słusznie, więc ktoś proponuje Marciniaka.

— Któż? Władka?
— Ee, Zygmunta pewnie.
— Ireneusza.
— I...Ireneusza? Ludzie, śmiechu nie róbcie, przecie to pastuch!
— Kadry, kadry — huczy ktoś od przedydium.

Na kadry zgoda, ale to dzieciak. Jakże dzieciak w radzie? — powtarza swoje ten zdumiony.

Dopiero przypominano, że Ruciński też był pastuchem. A dziś — proszę bardzo — aktywista. A Gacek — sekretarz partii, ile lat miał jak SP prowadził? Zaledwie o dwa więcej od Marciniaka.

LIST DO REDAKCJI

Z smutkiem chodziłem po V Wystawie Okręgu Warszawskiego Związku Polskich Artystów Plastyków. Zauważyłem, że uczucie to przebiegało się także w twarzach innych zwiedzających, niekiedy tylko przerywane złośliwym uśmiechem na widok oczywistych knołów! — stąd pare uwag! dyktanta o przyczynach smutku w piśmie, które z zasady nie zajmuje się sprawami plastyki.

Przygnębiająco działa już sam klimat kolorystyczny. Wystawione obrazy są albo postimpresjonistyczne albo „brudne“. Z barw rzeczywistego świata wybrano najbardziej szare, ponure, zimne. Ale świat smutny nie jest światem realnym. Któryś z krytyków ukuł termin socjetyzm. Czy nie należałoby raczej mówić o mitologizującym socjetyzmie, który obmierzył nam wszystkim? Nie chciałbym, by mi imputowano podrzucanie kukulezgo jaja koloryzmu. Nie jestem zbyt-tem entuzjastą nawet tych naprawd na tej wystawie na barwę wyczulonych postimpresjonistów: Hele-ny Zaremby-Cybisowej i Stanisława Szczepańskiego. Myślę, że można uczynić kolor, kolor intensywny, kontrasty kolorystyczne środkiem wyrażającym sprawy ludzi naszego czasu!). Zapewne łatwiej jest namalować obraz, w którym sprawa człowieka czyli jak to nazywają niektórzy — anegdota będzie pretekstem dla rozegrania barw niż obraz, w którym rozegra-

I Ireneusz przeszedł. Z gospodyni weszły Woźnowska i Groszewska. Potem jeszcze Ruciński, Kujawa i Puchalski.

O w pół do dziesiątej było po wszystkim.

12.

Gospodarze wylegli na drogę. Znow zamlaśkoło bloko pod butami. Księżyc okrażył tej nocy jak moneta płynął przez chmury. Wiatr ustał i zapalek nawet nie trzeba było ostanąć dłońmi. Kujawa zatrzymywał sąsiadów i coś im o Krajewskim kłarował. Ciekawe czy to do prawdy chodzi o tę karę wymierzoną Kujawie za śnieg? Nie do wiary.

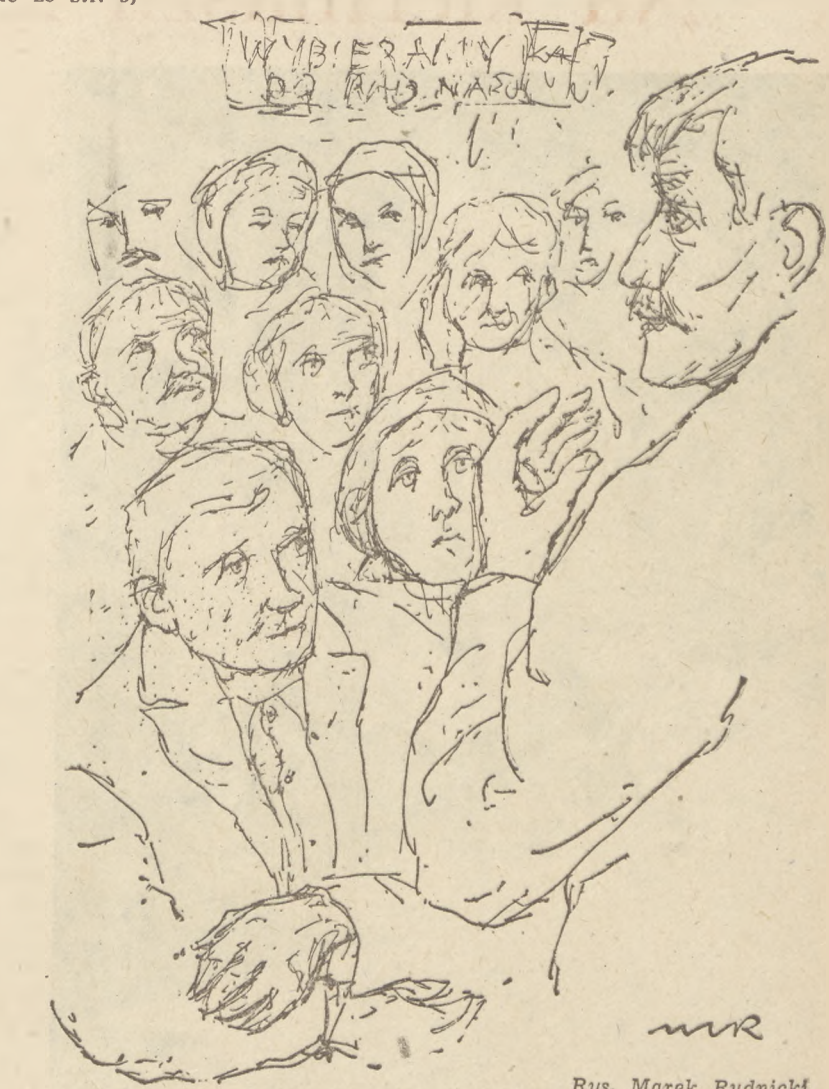
Idziemy z kierownikiem szkoły, dołączają się inni. Teraz na zimno można to wszystko rozsypać. Oto jak sprawy stoją:

Krajewski był kiedyś w Zielonej stróżem nocnym. Więc kiedy został potem wiceprzewodniczącym w gminie, zaczęło mu się lepiej powodzić. Od kieliszka nie uciekał i nie to, że nie uciekał, ale go nawet do szpitala w Mławie zawieźli z chorą wątrową. Ale to stara sprawa. Dawno pić przestał i teraz inny z niego człowiek. Społecznie pracuje jak mało kto chyba w gminie, żadna akcja się bez niego nie obejdzie. Zaś przed rokiem na zebraniu Zenek Krajewski powiedział: „co się chłopcy będziemy męczyć, założymy spółdzielnię!“. I właśnie od tego czasu tak go niektórzy „lubią“.

Tu więc tkwił klucz do zagadki tej ogromnej wrzawy Kujawy. Całkiem nieskomplikowana historia.

Ale na dzisiejszym zebraniu okazało się też, że mniej, mniej o połowę albo i o trzy czwarte gardowało przeciwko Krajewskiemu niż wówczas, gdy o spółdzielni wspominał.

Myślę, że to mówi najwięcej o gromadzie Zielona, Zielona — wioska niewielka i stosownie do swych rozmiarów niewielkie zmiany w niej zaszyły. W jednym tylko roku jednemu gospodarzy zbudowało nowe domy, sześćdziesięć dzieci z Zielonej kształci się dziś na wyższych uczel-



Rys. Marek Rudnicki

niach, w mieszkaniach grają radia, nierzadko i pięciolampowe, wynika więc z tego, że i światło tu założyli. Połączono też wieś z Mławą autobusem. Zmiany to niewielkie dla obcych.

Jeśli kto, jak kierownik szkoły Piotrowicz: pamięta Zieloną sprzed wojny, wie, że to zmiany ogromne,

A wśród nich najdonioślejsza wydała się właśnie ta mówiąca o zmniejszeniu się liczby krzywo jeszcze przed rokiem na Krajewskiego patrzających.

I taka to właśnie jest sprawa Krajewskiego, choć tyle o niej krzyczano — optymistyczna.

Jerzy Janicki

Godzina smutku

Nie barw będzie sugestywnym sposobem wyrażenia sprawy człowieczej. Ale na jakiej podstawie mamy twierdzić, że jest to niemożliwe? Zgadamy się na wielość stylów prozy. Z radością spostrzegłiśmy, że w teatrze istnieje język prozy i język poezji (przy czym nie chodzi tu o mowę wiążaną i niewiązaną). Dlaczego zatem oddać malarstwo w pacht prozaikom i to często lichym prozaikom, obsesyjnym naturalistom koloru. W poezji też istnieje realizm. Przy czym ta batalia o poetyckość jest — w moim rozumieniu — batalią o równoprawienie a nie o wyłączenie.

Dość już zresztą o tym, czego nie ma. Mówmy o prozie. Już w pierwszym z brzegu portrecie rzuca się w oczy smutek modelu. Wkrótce okazuje się, że to reguła. Posępny jest radioamator i jego synek u Aliny Kruk. „Pełka“ Henryka Musiałowicza, dzieci z „Przedśkoła“ Janiny Dobrzyńskiej, dziewczynki z „Portretu“ Narcyza Kruka przytłacza beznamiętnych bliżej nieszczęść. Na niemal wszystkich portretach powtarzają się ponure, uginające się od trosk i kłopotów postacie. Nawet uroczą Marię Słoniowską spogląda na nas ze swego autoportretu z beznamiętnością godną Kafkowskiego Józefa K. i metafizycznym niepokojem właściwym niektórym bohaterom dramaturgi Brandstaettera. Sam już pełen smutku myślę: co u licha? Rozwiązanie zagadki jest proste,

Nie tak dawno z okazji IV OWP atakowano płytką wazeliniańską afirmację, hurraoptymizm. Dziś w rezultacie znalazł się już tylko jeden obraz z roześmianą — bardziej zresztą reklamą Kalodontu niż malarstwem przypominającą — kobietą. Zaisze dziecięcej naiwności trzeba, by sądzić, że walka o realizm z wstydliwie niekiedy przemilczanym przymiotnikiem socjalistycznym polega na kolejnym przeginaniu i odginaniu pałeczki. Odginaniu na wyrost. Fałszywa maska radości i fałszywa maska smutku. A pomiędzy nimi wiele nieogarniętych, niewyraźnych, najrozmaitszych, skomplikowanych, prawdziwych, ludzkich uczuć. Tym bardziej chce się mówić o „Dziwaczynie“ Eibischa. Oto rzetelny portret, zdecydowany w kolorze, w treści humanistycznej: obraz mówiący o uczuciach, o charakterze, ba o sytuacji społecznej modelu. Mówi przy tym dyskretnie, swą treścią a nie podpisem. Obraz, w którym nie ma sprzeczności między treścią a formą, sprzeczności tak częstej u Eibischa w ostatnich latach. Przy czym jest to jedyny z dobrze namalowanych obrazów nie będących naśladownictwem. Bo niestety epigonizm, zdecydowany epigonizm większości prac to jeszcze jeden powód smutku. Tu kawalek nieba jak u późnego Pankiewicza, tam chłopiec malowany pod Guttusa. Między Pankiewiczem a Guttusem sporo jeszcze nazwisk, sporo jeszcze na

ścianach pastiszwów robionych na serio.

Wychodząc zająrzałem do księgi wystawy. Znalazłem tam — o bok pretensji „Sermierza“ żalującego, że: „Michał Gawlak nie widział prawdziwej szermierki, zatem namalował swój obraz, który u wielu osób może wypaczyć pojęcie o tej dziedzinie sportu“ — pewną nieczytelnie podpisaną wypowiedź, Autor jej wyraził swą radość, że nareszcie znalazły się na wystawie dzieła prawdziwych artystów, a nie jak dotąd tylko agitacyjne bohomyzy na zadane tematy. Intencje zapisu były jasne. Z kolei uśmiechnąłem się na myśl, jak nasz przeciwnik anektuje sobie po prostu niedobre malarstwo. Ale była to radość krótkotrwała. Na wystawę wchodził coraz to nowi ludzie, Andrzej Dobosz

1) Nie mogę się powstrzymać od wymienienia obrazów najgorszych będących zdecydowanie poza kryteriami malarstwa: „W 40-lecie śmierci Chelmońskiego“ Zygmunta Badońskiego, „Po pracy“ Romana Gineyki, „Wiech w rozumie z Płecikiem“ Stanisława Wasilka, „Siatkówka“ Gubienia Zawadzkiego.

2) Będzie tu mowa o „malerstwie z pominięciem grafiki i rzeźby“.

3) Sporo radości sprawił mi „Krajobraz“ Zbigniewa Kupezyńskiego. Świętym kolorystycznie, dobrze zakomponowany. Nie ma w nim osądu historii, ale jest blisko nam afirmacja świata. Nie takie malarstwo trzeba walczyć, ale i dla takiego jest chyba u nas miejsce.

4) Zastanawiająca jest regularność współwystępowania pewnych schorzeń. Przypominę tylko schematyzm i schematyzm antyschematyzmu w literaturze, 5) To pasjonująca lektura.

INSTYTUT FILOZOFII AKADEMII NAUK ZSRR przygotował do druku „Problemy marksistowsko-leninowskiej estetyki“. Jest to praca kolektywna, prowadzona pod kierownictwem prof. G. J. Giezermana.

J. P. SARTRE pracuje obecnie we Włoszech nad książką o intelektualistach swego pokolenia. Korespondentowi postępowego dziennika włoskiego „Paese-serra“ Sartre oświadczył: „Zadaniem moim jest pokazanie drogi, jaką musiałem przebyć, by znaleźć się na mych dzisiejszych pozycjach...“ „Pacyfizm lat dwudziestych różni się od stanowiska walczących dziś przeciw wojnie obronców pokój. Potpienie wojny w sposób abstrakcyjny — to absurd. Naszym obowiązkiem jest walczyć... przeciw konkretnej sytuacji, która mogłaby doprowadzić do wybuchu“.

W PARYŻU ukazała się ostatnio książka Heleny Pamelin „Czarno na białym“. Jest to historia „Humanité“, jej redaktorów, drukarzy, gonców, szoferów, gazeciarzy i urzędników.

NOWA KSIĄŻKA E. M. REMARQUE'A „Czas miłości i czas śmierci“, przełożona z rękopisu wydano w Norwegii. Akcja książki rozgrywa się w czasie hitlerowskiej inwazji na Związek Radziecki. Jak okazało się przy porównaniu tłumaczenia z niemieckim wydaniem książek (Kiepertneuer und Witsch w Kolonii) wydawnictwo niemieckie dokonało skrajnie poszczególnych ustępów i całych rozdziałów demaskujących niemiecki Wehrmacht, bestialstwo SS-manów, eksterminację Żydów i Jenców radzieckich. Ze względu na fakt, że sprawa skreszenia nabrała rozgłosu, wydawnictwo niemieckie stwierdziło, iż skreszeń dokonano z polecenia cenzury berlińskiej.

POSTĘPOWA PISARKA ANGLIJSKA EDITH PARGETER wydała nową powieść pt. „The Soldier at the door“. Akcja powieści toczy się w małym angielskim miasteczku przemysłowym: bohaterką jest postać kobiety, której syn zginął na Korei.

K r o n i k a

wy odbył się zjazd artystów-dekoratorów, którzy omawiali zagadnienia swojej twórczości.

WYSTAWY POSWIECONE TWÓRCZOŚCI ANATOLIA FRANCE'A otwarto w Moskwie i Leningradzie w związku z 30-leciem zgonu pisarza. Książki France'a były tłumaczone na trzynaście języków narodów radzieckich. Ogólny nakład 146 tytułów wyniósł dwa i pół miliona egzemplarzy.

PIĄTY TOM CYKLU ARNOLDA ZWIELGA o sierżancie Grizy pt. „Feuerpause“ ukazał się w wydawnictwie Aufbau-Verlag. Nakładem Aufbau-Verlag wydanie z druku nowa powieść Gottholda Glöckera, młodego prozaiaka zachodniemieckiego, laureata nagrody im. Heinricha Manna. Powieść nosi tytuł „Der Soldat und sein Leutnant“.

ZMARŁ LAJOS NAGY, laureat nagrody im. Kossutha, jeden z czołowych prozaików węgierskich. W okresie międzywojennym Nagy występował zdecydowanie przeciw reżimowi Horthy'ego. Był uczestnikiem I Zjazdu Pisarzy Radzieckich w r. 1934.

OGÓLNOKRAJOWA KONFERENCJA SATYRYKÓW CZESKICH I SŁOWACKICH odbyła się w tych dniach w Pradze. Referaty wygłosili: Václav Látina i Miro Procházka. Na wieczorze autorskim zorganizowanym z okazji konferencji obecny był Prezydent Republiki A. Zápotocký.

W PEKINIE WYSTAWIOMU DRAMAT CZEU CUI TUNGA pt. „Przez góry i lasy“. Tematem dramatu, który zyskał sobie uznanie krytyki, jest „długi marsz“ chińskiej Armii Czerwonej z lat 1935-36. Prasa podkreśla poważne osiągnięcia twórcy autora podaje, że przystąpiono do realizacji filmu według scenariusza, przerobionego z dramatu.

W ANGLII ZAPRZESTANO DUKU COMICSÓW AMERYKANSKICH w następstwie szerokiej akcji społecznej: protestów zwyczajnieli, iekarzy, duchownych i interpelacji w Izbie Gmin. Wielu sprze-

dawców gazet odmówiło kolportażu, a zakłady graficzne w Glasgow i Leicester wobec stanowczej postawy pracowników zerwały kontrakt z wydawcami. Jak podaje „Daily Mail“ rozpatruje się możliwości wydania zakazu importu comiców ze St. Zjednoczonych.

III ZJAZD ZWIĄZKU PISARZY UKRAIŃSKICH odbył się z końcem października w Kijowie. Referat o literaturze ukraińskiej wygłosił M. Bażan, koreferat o dramaturgii — Dmitriko. Na Zjeździe przedyskutowano aktualne zagadnienia literatury ukraińskiej i dokonano wyboru władz związkowych. Przewodniczącym ZPU został ponownie M. Bażan.

WYDAWNICTWA UKRAIŃSKIE opublikowały w okresie ostatnich 6 lat 2500 utworów o łącznym nakładzie 79.327 tys. egzemplarzy. W tym samym okresie przetłumaczono na język ukraiński 892 utwory o łącznym nakładzie 32.230 tys. egzemplarzy.

TEATR LALEK S. OBRACZOWA w Moskwie wystąpił w nowym sezonie teatralnym z premierami sztuk: dla dzieci „Buratino“, wg A. Tołstoja i wznowieniem „Mowgli“ wg Kiplinga, oraz dla dorosłych miłośników tego teatru — „Sprawę o rozwód“ Speranskiego.

WZRASTAJĄCA ROLA REPORTAŻU LITERACKIEGO i siła jego oddziaływania na społeczeństwo — to temat konferencji pisarzy pracujących nad reportażem, która odbyła się w Moskwie. Konferencja zgromadziła pisarzy Moskwy, Leningradu, Kijowa, Stalingradu i innych miast.

V TOM PISM A. MICKIEWICZA ukazał się w Moskwie. Jest to ostatni tom z zaplanowanego przez Państwowe Wydawnictwo Literackie pięciotomowego wydania dzieł poety. Wielką popularnością cieszy się również zbiorowe wydanie E. Orzeszkowej. Obecnie czytelnicy radzieccy otrzymali V tom dzieł tej pisarki w języku rosyjskim. (Nakład 90 tys. egz.).

